



NASZ PLAN

NASZ PŁON.

# NASZ PŁON.

---

KSIĄŻKA PAMIĄTKOWA

Pięćdziesięciolecia „Przyjaciela Dzieci”.

---

(z ilustracjami)

---

WARSZAWA.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „PRZYJACIEL DZIECI”

---

1912.

LPI 6

429282

1

K79/13330  
B.N. 1805



Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

## 1861 — 1911.

---

„Bóg i Ojczyzna—cnota i praca“.

Lat pięćdziesiąt temu postawił sobie to hasło „Przyjaciel Dzieci“, a jeżeli nie do nas należy osądzenie, o ile zadość uczyniliśmy *cnocie*, same roczniki pisma naszego, wychodzącego już przez pół wieku, w warunkach prawie zawsze trudnych, a często okrutnych, zaświadczaają, żeśmy niezawodnie ideałowi *pracy* byli posłuszni.

Pierwszy numer „Przyjaciela Dzieci“ ukazał się w dniu 3-cim kwietnia 1861 roku. Stanął więc do obywatelskiej, do zbożnej i do wielce odpowiedzialnej pracy w epoce, kiedy w cywilizowanym świecie poczęto sobie uświadamiać wielkie zadania i doniosłość metod wychowawczych, kiedy dostrzegać poczęto w dziecku nie tylko najsilniejszy, bo najtrwalszy z węzłów rodzinnego życia, ale i niejako skarbonkę, z której naród żyć bę-

dzie w dobie swego jutra. Wielkie znaczenie dziecka, a więc i doniosłość wychowania,—to dziś są prawdy uznane. Z wysokości pedagogiki, pedagogii i psychologii wychowawczej spoglądając dziś na młodzież, pojmujemy, że żadne trudy, żadne nakłady, włożone w sprawę wychowania, nie są za wysokie, ani może nawet wystarczające. Ale lat temu pięćdziesiąt były to idee nowe, przeczuwane raczej, aniżeli pojmowane, a w każdym razie otwierające dopiero okres doświadczeń, który już z pewnością nigdy nie zostanie zamknięty.

Niech nam będzie wolno wziąć tytuł do zaśluzi z tego faktu, że w owym już czasie „Przyjaciół” zrozumiał gorącą i doniosłą potrzebę stworzenia peryodycznego pisma dla dzieci; że przed 50-iu laty stanął w szeregach europejskich wychowawców, przyspasabiających nowożytnie czasopiśmiennictwo dla celów wychowania; że pierwszy na stałe i na trwałe dał początek trosce o wyrobienie polskich pisarzy dla dzieci i wyprodukowanie polskiej literatury dla młodzieży.

A powołując się na te słowa, które hasłem naszym uczyniliśmy, a które na czele pisma, jak na sztandarze bojowym wypisujemy, niech nam w dniu jubileuszu, w dniu dla nas uroczystym i rzewnym, wolno będzie jeszcze powiedzieć, iż pracowaliśmy nie tylko — „dla nas” — „ale i dla Imienia Twojego!...” Przez lat pięćdziesiąt redakcyja „Przyjaciela Dzieci” pracę swą rozumia-

ła, jako służbę nieustanną, jako czuwanie pilne i sumienne, jako pomoc tym, co wyrastają, aby *potrzebie* (jak mówili nasi ojcowie) sprostać. Pierwsi nasi czytelnicy już dla swych wnuków dziś prenumerują „Przyjaciela Dzieci“. Ich to dziecięce wspomnienia przywołujemy na dzisiejszy nasz jubileusz i prosimy ich, aby w sumieniach swoich zaświadczyli nam, jako „dobrem potykaniem potykaliśmy się“, i jako „wiary dochowaliśmy“.

Do nowego okresu pracy stajemy bez osobnych zapewnień i przyrzeczeń, znani z tego, cośmy lat pięćdziesiąt robili, silni półwiekową praktyką, a nawet już i mężni tem, co naszą tradycją pozwalamy sobie nazwać.

\*

\*

\*

Pierwszym wydawcą „Przyjaciela Dzieci“ był Jan Münchajmer, pierwszym redaktorem—Fryderyk Henryk Lewestam. Od razu zgromadzono w około redakcyi pióra zdolne i znane, dając im zadania nowe i doniosłe. Chęciński, Rogalski, Wójcicki, Anczyc, Skarbek, Skimborowicz, Szymanowski, Gregorowicz,—oto niektóre nazwiska z listy pierwszych współpracowników naszego pisma. W roku 1865 wydawcą został Jan Jaworski, a redaktorem Anczyc i wtedy to rozpoczęła się na dobre specjalizacya naszego pisma, która w Anczycu, pisarzu poprawnym i posiadającym zdolność zastosowania się do umysłów prostych, znalazła

szcześliwy wyraz. Przybywają jako współpracownicy w tym okresie: Bałucki, Rzętkowski, Dzierzkowski. Jest to okres już odnalezienia drogi właściwej, okres jednak przejściowy jeszcze. Dopiero, gdy w roku 1867 objął redakcyę Jan Kanty Gregorowicz, znany i lubiany „Janek z Bielca“, nasze pismo znalazło właściwego człowieka, i pedagoga, który właśnie ustalił tradycyę, jakiej wierni stale jesteśmy, mianowicie oddania kierunku pisma w ręce nie tylko ludzi, posiadających zdolności i talenty pisarskie, ale jeszcze pedagogów zawodowych, znających wszystkie nowożytnie zdobycze i metody wychowania, a nawet więcej, pedagogów, specjalizujących się w tym dziale pedagogiki, jaką jest wydawanie pisma peryodycznego dla dzieci.

Mamy też przekonanie, że powodzenie swoje, które tak niebywale wzrosło w latach ostatnich, zawdzięczamy tej naszej zasadzie, iż „Przyjaciół Dzieci“ prowadzony i pisany jest nie przez siły rzutkie, albo przygodne, lecz przez grono zawodowców, przez samo pismo nasze wychowanych w swojej trudnej specyalności, a *wybranych przez nas starannie z pośród tych, którzy przedewszystkiem mają w sercu wielką miłość dla polskiego dziecka.*

Im to, po śmierci Gregorowicza, zmarłego w 1890 roku, powierzyliśmy „Przyjaciół Dzieci“, oni prowadzą dalej dzieło, które uważamy za trudne i za wielkie!...



Przynosimy wam, młodzi czytelnicy, tę książeczkę na pamiątkę jubileuszu pisma, dającego wam z tygodnia na tydzień duchową rozrywkę. Chcieliśmy, aby była ona obrazem<sup>9</sup> jego rozwoju w ciągu półwiekowego istnienia, aby zapoznała was z ludźmi, którzy siły swoje pracy dla młodzieży poświęcali, i z ideałami, jakie przyświecały zarówno tym piszącym, jak i całemu młodemu pokoleniu w ciągu ubiegłych lat pięćdziesięciu. Znajdziecie więc w książeczce tej garść wspomnień o pracownikach, którzy na pamięć młodzieży rzetelnie sobie zasłużyli. Godzi się nazwiska ich przypomnieć w obecnej chwili jubileuszu, aby w ten sposób przynajmniej dać wyraz wdzięczności za ich pracę i starania.

Obok tego zawiera książeczka szereg utworów, bądź w całości, bądź w główniejszych ustępach, z tego bogatego plonu, jaki „Przyjaciół Dzieci“ dał swym młodocianym czytelnikom przez czas swego istnienia. Niejeden z nich nosi już wybitne piętno przyszłości, niejeden nie przemówi do czytelnika tak, jak przemawiał w epoce, kiedy się pojawił, niejeden wydać się może przestarzałym lub zbyt naiwnym. Ale tem nie mniej cenne to pamiątki przeszłości, świadectwa najwymowniejsze, czem interesowali się poprzednicy wasi przed laty dziesięcioma, dwudziestoma i więcej, co ożywiało ich umysł i serce. Życie wartką płynie falą, ciągną przynosi zmianę. Zmieniają się

poglądy i zmieniają upodobania, zarówno starszej jak młodszej generacji. Książeczka nasza przesunie przed oczyma waszymi obraz tych zmian, który i zająć może i nauczyć wiele.

Przynosimy wam więc tę książeczkę, jako jubileuszową pamiątkę, chcąc w sercach waszych zadzierzgnąć nić, wiążącą z przeszłością pisma, które dzisiaj, zmienione wprowadzie odpowiednio do ducha i wymagań epoki, stawia sobie przecież te same cele, jakich nie traciło z oczu od chwili swego powstania.

---

# O TYCH, którzy pracowali dla „Przyjaciela Dzieci“.

GARŚĆ WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH.

---

Mam mówić o Was, do dzieci i młodzieży, przyjaciele moi! Gdybym chciała sylwetki wasze duchowe choć w lekkich skreślić konturach, musiałabym mówić długo... długo...

A tego mi nie wolno. Rozmiary książki nie pozwalają na to.

Więc — co w tej chwili w sercu i pamięci ozwało się echem, co stanęło przed oczyma żywym wspomnieniem, o tem tej młodzieży, tej działwie umiłowanej przez was mówić będę.

**Jadwiga Chrząszczewska.**

---



Antoni Edward Odyniec.

## „PAN ODYNIEC“.

---

Odyniec—serdeczny druh Mickiewicza, Odyniec — poeta — autor „Felicyty“, redaktor „Encyklopedyi Powszechnej“, tłumacz Byrona, Szylle-  
ra, Walter-Scota—długoletni kierownik „Kuryera  
Wileńskiego..“

Komuż obcem jest to imię, komuż obcemi są jego utwory?

W swoich „Listach“ Odyniec z czcią niemal religijną opowiada przeróżne szczegóły, z wspólnego pobytu w różnych krajach z Mickiewiczem i Krasińskim.

Odyniec pisał dużo i szybko. Utwory oryginalne i tłómaczone wierszem i prozą, poważne i żartobliwe ukazywały się jedno po drugim.

Pojmując doniosłe znaczenie literatury dla młodzieży, nie rzadko również stawał w szeregu piszących na tem polu.

A kochał młodzież i lubił z nią przebywać...

— Proszę pana o wierszyk dla mnie — mówiła nieraz z powagą jaka dziesięcioletnia dama, pewna, że jej prośbie nie odmówi.

— I dla mnie! — dodawał jej braciszek.

— A ja, to niby gorszy? — odezwał się ktoś trzeci.

Takie prośby zanosily „rozpieszczane“ i „rozpieszczani“.

Więc Odyniec pisał dla różnych Zosiek, Julczek, dla Franiów, Antosiów, Adalków etc.

Ja też, jako mała jeszcze dziewczynka, należałam do listy tych przyjaciół naszego poety. Był on częstym gościem w naszym domu.

Pewien szczególny, przez niego przyjęty spo-

sób dzwonienia, oznajmiał, że „Pan Odyniec“ przychodzi.

Cała nasza trójka (jedna z siostrzyczek chowała się po za domem), biegła wtedy na wyjściu do przedpokoju.

Która pierwsza z nas „Pana Odyńca“ przywita, która mu drzwi otworzy?!

To ostatnie czyniła zawsze jednak najstarsza, bo my, dwie małe, nie umiałyśmy jeszcze poradzić z zatrzaskiem.

Odyniec wchodził witany przez wyciągające się ku niemu rączki, przez okrzyki radości.

„Pan Odyniec!“ „Nasz kochany pan!“

Największa radość była wtedy, jeżeli odwiedziny wypadły podczas nieobecności starszych osób w domu.

Wówczas zabierałyśmy „Pana Odyńca“ wyłącznie dla siebie i ciągnęły za obie ręce do gabinetu.

Stała tam w rogu duża, okrągła, wyściełana kanapa. To było nasze ulubione miejsce.

Odyniec zasiadał w pośrodku, a my znowu jedna przez drugą sadowiłyśmy się obok niego.

Najczęściej — muszę to wyznać — przy tych wyjściach o miejsce nie obeszło się bez sporów, a nawet — wstyd powiedzieć — szturchańców i płaczu.

Wtedy „Pan Odyniec“ pół żartem, pół se-

ryo „zaprowadzał zgodę“ i póty przemawiał, uspokajał, gładził rozwichrzone w walce czupryny, póty pieścił i całował, aż po burzy nastąpiła zgoda.

W końcu jednak dla „świętej zgody“, jak sam mówił, zaprowadził taki porządek, że po dwie kolejno przy nim siadywałyśmy.

Jakże wtedy każda pilnowała się swej kolei!

Skoro już raz byłyśmy wygodnie usadowione, zaczynały się prośby, bo jednak to nasze uczucie dla sędziwego poety nie było całkiem bezinteresowne.

A prośby nieodmiennie brzmiały:

— Niech nam Pan co opowie!

— Jaką bajkę?

— Nie... co o Mickiewiczu!—prosiła średnia z dziewczynek, Jadwisia.

Jadwisia wyobrażała sobie, że „Pan Odyniec“ ją najwięcej lubi.

Co prawda, to dwie jej siostrzyczki miały—każda o sobie takie samo zdanie.

Odmowa nie spotkała nigdy naszej prośby. Odyniec opowiadał, a my, zasłuchane, siedziałyśmy bez ruchu, całe pod wrażeniem obrazów, jakie przed oczami naszymi rozsnuwał.

Miałyśmy też swoje ulubione opowiadania. Do takich należało wszystko, co się dotyczyło Mickiewicza.



— O tym bębenku niech nam Pan jeszcze raz opowie.

— A jak to było naprawdę z tą wiewiórką, którą Mickiewicz przyniósł dla swej córeczki?

— Albo o tem niech pan opowie, jak Mickiewicz jechał do Wilna? — prosiłyśmy.

I Odynieć zaspakajał życzenia dziecięce, opowiadał długo—dla nas zawsze jednak za krótko—układał szarady, zagadki...

Bawiłyśmy się przecudnie...

Trwała ta zabawa zwykle dopóty, dopóki jakaś tam przez naszego gościa oznaczona godzina nie wybiła.

Podnosił się wtedy i żegnał swoje małe audytoryum.

— Muszę iść. Praca mnie czeka...

Lub też:

— Inne dzieci mnie czekają,—tłómaczył się.

Gdy my, uczezione jego ręk, zatrzymywałyśmy go przemocą prawie.

Wiele, wiele lat minęło od tej pory—wiele, wiele rzeczy widziałam, doświadczyłam... Wielu, setki ludzi poznałam, a jednak wspomnienie tych chwil dzieciństwa, wspomnienie tej postaci wciąż jest niczem nie zaćmione.

Jak żywy stoi mi przed oczyma staruszek niewielkiego wzrostu, o żółtej, w tysiące zmarszczek pooranej twarzy, o dobrem wejrzeniu oczu



przekrwionych nadmierną pracą, o kłującej, szczecinowatej brodzie.

Ta broda, to było jedno, czego nie lubiłam w panu Odyńcu,—odezuwałam bowiem nieraz kłujące jej dotknięcia na mojem czole i policzkach.

Ale nie żaliłam się przed nikim, nawet przed siostrzyczkami... Jeszczeby też! Przecież kto, jak kto, ale pan Odyniec może mieć kłującą brodę... Jemu wszystko wolno!...

Minęło lat sporo... Zamieszkaliśmy na stałe w Warszawie i dawna znajomość z Odyńcem odżyła.

Odwiedzał nas, nie tak często jak dawniej jednakże — wiek przeszkadzał temu. Mnie lubił bardzo, czytywałam mu nieraz swe drobne utwory wierszem i prozą.

Te pochwalił—tamte zganiał otwarcie.

— A z drukowaniem wstrzymaj się jeszcze—mówił.—Niedojrzały owoc kwaśnym jest.

Ja też sama nie myślałam o druku...

Pewnego dnia Odyniec przyszedł do nas po długiej nieobecności.

Zmieniony był bardzo. Spostrzegliśmy to wszyscy.

Twarz pożółkła mu jeszcze więcej, pochylił się, zmalął, skurczył jakby w sobie.

Na zapytanie mej matki o stan zdrowia, odparł z naciskiem, że w jego wieku o zdrowiu nie

może być mowy, że każdy dzień życia jest uproszony od Boga...

Rozmowa szła poważna—smutek nieokreślony, bezprzyczynny. mroził każde wesołe słowo na ustach, choć każdy silił się na wesołość.

I Odyniec również „nadrabiał humorem“, ale mu to nie szło... raz po raz milkł i zapadał w dziwne zamyślenie.

Wtedy, po raz pierwszy zauważyłam, że trochę niedosłyszysz, bo kilkakrotnie zwracał się do mej matki z prośbą o powtórzenie tego, co mówiła...

Naraz, po dłuższej chwili milczenia, Odyniec powstał i zwracając się do nas, przemówił wierszem:

Oczy gasną, uszy głuchną,  
Wszystko gaśnie społem,  
Myśl jak kamień, serce próchno,  
Czas stać się popiołem...

Rzuciliśmy się wtedy wszyscy do niego, gorąco zaprzeczając temu, co powiedział. Pamiętam—łzy rześiste płynęły mi po twarzy, gdy całowałam jego chude, pomarszczone dłonie.

A on uśmiechał się łagodnie, trząsł przecząco siwą głową i żegnał się z nami serdeczniej i dłużej, niż zwykle.

To były ostatnie jego u nas odwiedziny.

Wkrótce potem wyjechaliśmy z Warszawy na czas dłuższy.

Naszego „Pana Odyńca“ nie widziałam już nigdy. Nie mogłam nawet pójść za jego trumną, bo gdy zmarł, nas wtedy w mieście było.

Stało się to 15 stycznia 1885 roku.

**Jadwiga Chrzęszczewska.**

---



Antoni Pietkiewicz.

O Adamie Pługu  
Antonim Pietkiewiczu.

---

Od jak dawna mieszkał tam w tych skromnych trzech pokoikach w oficynie, na Nowym Świecie, tego nie wiem, ale tak dawno, odkąd go poznałam.

Ach, jak tam było skromnie, a uroczyście, wśród tych szaf, wypełnionych od dołu do góry książkami, wśród tych obrazów zawieszonych na ścianach.

A na tym tle postać wysoka, szczupła bardzo, o uduchowionej twarzy, o oczach pełnych rozumu i dobroci.

Młodziutką byłam, rozpoczynającą zaledwie swój zawód pedagogiczny i literacki, gdy poznałam Adama Pługa.

Nie znając, bałam się go trochę, wyobrażałam sobie, że musi być bardzo poważny i bardzo surowy.

Surowy był — prawda, ale dla siebie tylko. Dla drugich wyrozumiałości iście anielskiej i słodczy gołębiej.

Później, gdy otworzyłam szkołę, odwiedzał mnie niekiedy.

— Jakże tam? Proszę opowiedzieć mi co o dzieciach — mówił zawsze.

Więc mu, opowiadałam to o Bodziu zawadyaku, z którym w żaden sposób rady sobie dać nie mogłam, to o dwóch małych, Wojtku i Władku, to o innych malcach.

Władek wiecznie jakieś historie wymyślał, a słowa w nich nie było prawdy.

— Co tu robić? Jak odzwyczaić Władka od kłamstwa? Jak uspokoić i okiełznać Bodzia?—radziłam się swego zacnego gościa.

A on na to:

— Cierpliwości, cierpliwości!... Toć stokroć lepiej, że chłopiec ma naturę bujną... Nie da się zjeść w kaszy nikomu. Jeżeli tylko nie krzywdzi umyślnie kolegów, to niech psoci, niech płata figle. To i dobrze. I owszem. Tylko nie trzeba z nim ostro postępować. Ludzi zawsze lepiej prowadzi się na złotej nici miłości, niż na żelaznej—gniewu...

Władka też tak zaraz o kłamstwo posądzać nie należy... Chłopak ma dużo fantazyi, coś mu się tam ciągle roi po głowinie, a on te urojenia za prawdę bierze... Nie trzeba mu nawet poddawać tej myśli, że kłamie. Broń Boże!...

Nie mylił się ten dobry, ten rozumny, ten kochający ludzi.

Dziś Bodzio—zawadyaka, jest chlubą rodziny, a Władek szlachetnym młodzieńcem, którego usta kłamstwo nigdy nie plami.

Miłość ludzi była jedną z dominujących cech charakteru Adama Pługa.

Kochał dzieci, dorosłych, starców, młodzież... kochał złych nawet.

— Biedni oni, nieszczęśliwi...—mawiał.

Nie widziałam nigdy Adama Pługa rozgniewanego, nie słyszałam mówiącego źle o kimkolwiek.

Był samą dobrocią.

A jak wytrwale, jak nieustrudzenie, jak rozumnie umiał pracować!

— Pługiem będę na ojczystej niwie—powiedział sobie w młodości, przy obiorze pseudonimu.

I obranej nazwie tej wiernym został.

Jako długoletni redaktor pisma ilustrowanego „Kłosy“ i „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“, jako autor wielu powieści i wierszy, zadziwiał zawsze swą nadzwyczajną pracowitością.

Zmarł w roku 1903, przeżywszy lat osiemdziesiąt.

**Jadwiga Chrząszczewska.**

---



Władysław Skłodowski.

## PROFESOR SKŁODOWSKI.

---

Osobiście poznałam go w Zakopanem.

Mieszkaliśmy w jednym pensjonacie i siedzieli przy jednym stole.

Dzieliła nas ukochana wnuczka profesora, mała Manusia. Dziwnie prędko przyłgnęło do mnie to nieśmiałe, małomówne dziecko. Polubiło swą sąsiadkę.

A za wnuczką poszedł i dziadek.



Rozmowy nasze przy ogólnym stole, jak to zwykle bywa w pensyonatach, wśród ludzi niezżytych jeszcze ze sobą, skakały często z przedmiotu na przedmiot, lub kręciły się w kółko popolitych zdarzeń codziennych.

Profesor wogóle odzywał się rzadko i wtedy tylko, gdy rozmowa w ściślejszem nawiązana kółku, wkraczała na poważniejsze tory.

A jednak musiał być wesołym, musiał wnikać w figle młodzieży i dzieci.

Gdyby było inaczej, czyżby ta jego ukochana wnuczka nie odstępowała tak dziadka ani na jedną chwilę?

Obojgu dobrze było ze sobą.

Jak przedziwnie umiał ten mąż poważny przystosować się do potrzeb i wymagań dziecka!

Zastanawiałam się nieraz nad tem, widząc wszędzie razem dziadka z wnuczką, wesołych, rozmawiających ze sobą, zadowolonych wzajemnie.

— Kocha ją bardzo, więc jest dla niej wyrozumiałym, zmusza się do wesołości... — myślałam.

Czy byłby takim i dla drugih?

O tem przekonałam się wkrótce. Było to tak:

Miedzy licznymi gośćmi w naszym pensjonacie znajdowało się kilka młodych panienek.

Jedna z pomiędzy nich, urocza Haneczka M., była duszą każdego zebrania.

Ożywiona, nadzwyczaj wesoła, ciągle miała

jakieś nowe pomysły, projekty, które szybko urzeczywistniała.

Razu jednego przyszło jej do głowy przebrać się w męski strój i odegrać rolę studenta z Genewy. Miał on, niby to przybywszy do Zakopanego, przyjść w odwiedziny do swej dawnej koleżanki z uniwersytetu, doktorowej Heleny Mon.

Projekt pyszny. Wykonać go trzeba natychmiast, z tą zmianą jedynie, że zamiast jednego studenta przyjdzie dwóch z wizytą.

Rolę drugiego wzięła na siebie ciotka małej Maniusi, panna Marya K.

— Tak jakoś rażniej będzie!—zadecydowała Haneczka.

Naturalnie, że ów projekt pozostał tajemnicą dla wszystkich prawie mieszkańców pensjonatu...

Ja jednak o nim wiedziałam.

Chęci były, wesołość była, pozostawała trudność otrzymania męskiej garderoby.

Zwierzono się z tem profesorowi, przypuszczam, że za pośrednictwem Maniusi i, rzecz prosta, uzyskano wszystko, czego chciano.

Tylko że na nieszczęście, profesor był dobrej tuszy i dobrego wzrostu, a obiedwie panienki drobne i szczupłe.

Ale od czegoż są poduszki i szale, od czegoż igły, nici, szpilki?...



Za ich pomocą doszło do tego, że o zapadającym zmroku, dwu młodzieńców znalazło się przed willą i jeden z nich, pokręcając wąsika (namalowanego węglem), prosił służącej, ażeby oznajmiła pani Helenie M., iż dwóch przybyłych kolegów pragnie rozmówić się z nią w nader ważnej sprawie.

Ale niestety, pani Helena odznaczała się wielkim sprytem (właśnie dla tego zwieść ją chciało), i nie pozwoliła tak łatwo wyprowadzić się w pole.

Kilka okrzyków zdumienia, kilka wybuchów śmiechu, i oto dwaj młodzieńcy, jak nie pyszni, wpadają do willi i zmykają co sił po schodach, na piętro, do swoich pokojów.

Zwabiony krzykiem goni za nimi cały personel willi, panowie... panie...

Młodzieńcy po drodze gubią poduszki, szale... uciekają zaskoczeni, wśród wybuchów śmiechu goniących.

I profesor śmieje się wesoło wraz z innymi.

Ale ktoś przecina odwrót uciekającym...

Młodzieńcy, zrozpaczeni, tulą się do ściany, nie śmieją kroku postąpić... lży nabiegają im do oczu...

Wtedy zjawia się opieka i ochrona. Profesor oddala natrętnych ciekawskich, pomaga zawstydzonym a blizkim już płaczu paniąkom, usuwać się w bezpieczne schronisko.

A oto inne wspomnienie.

W roku 1880 pan Skłodowski był dyrektorem Osad Rolnych w Studzieńcu.

Stanowisko to zaszczytne, lecz i trudne. Serce musiało nieraz wejść w kolizję z twardem i nieubłaganem prawem.

Według tych praw, za pewne przestępstwa karano uczniów pozbawieniem południowego posiłku i zamknięciem.

Powaga dyrektorska zmuszała do ścisłego wykonania prawa, serce współczuło niedoli małoletniego przestępcy.

Jakże tu litość z surowością pogodzić? Znalazł się sposób.

Młoda córka dyrektora nie była skrupowana przepisami. Ojciec karał więc pozbawieniem posiłku, córka ten posiłek więźniom od siebie słała.

— Ja nic nie wiem. Rób, jak ci się podoba, ty nie przekraczasz regulaminu i ustawy—mówił dyrektor.

I nie nazywało się również przekroczeniem ustawy, gdy córka dyrektora czytywała głośno wychowañcom, skazanym za karę na zamknięcie i samotność w celach więziennych.

Okna więzienia wychodziły na ogród, cóż więc naturalniejszego nad to, że młoda dziewczyna zasiadała gdzieś w pobliżu i czytywała głośno?

Któż mógłby powiedzieć, że tego nie czyni dla siebie?

A pan dyrektor też inaczej nie myślał.

Takiego to surowego zwierzchnika mieli nie-  
szczęśliwi małoletni przestępcy w Studzieńcu.

Władysław Skłodowski pracował przez lat  
35, jako profesor fizyki i matematyki w zakła-  
dach naukowych rządowych i prywatnych, był  
przez długie lata współpracownikiem „Wszech-  
świata“, „Tygodnika Mód i Powieści“ i „Przyja-  
ciela Dzieci“.

W obu tych pismach zamieszczał artykuły  
treści przyrodniczej.

I jeszcze jedno wam powiem.

Profesor Władysław Skłodowski był ojcem  
chluby naszego narodu, pani Curie-Skłodowskiej,  
profesora fizyki w Paryżu.

Zacna ta kobieta, wraz ze zgasłym przed pa-  
ru laty swym mężem, odkryła nieznany dotych-  
czas pierwiastek „radium“, o którym zapewne  
słyszeliście.

Odkrycie to w dziejach wiedzy przyrodniczej  
prawdziwą epokę stanowi.

**Jadwiga Chrzęszczewska.**

---



Teresa Jadwiga (T. J. Papi).

## Z życia „Teresy Jadwigi“ (T. J. Papi).

---

Pamiętam ją doskonale... Ach, bo to czasy tak niedawne jeszcze!.. Sześć lat minęło zaledwie od chwili, gdy to serce, tak bardzo kochające młodeż i pracę, nagle bić przestało.

A umarła, jak żołnierz z orężem na polu walki, tak ona z piórem w rękę.

Drobna, szczupłutka, skromnie i zawsze czarno ubrana, Teresa Jadwiga często przychodziła do lokalu redakcyjnego.

— Czy nie zabieram wam czasu? Czy macie dla mnie wolną chwilę? — zapytywała miłym głosem.

Była chwilka wolna, czy nie była, a dla niej znalazła się zawsze.

Bo... trudno, trzeba się przyznać do tej zresztą niewinnej interesowności, Teresa Jadwiga rzadko kiedy przychodziła, jak to mówią „z pustemi rękoma“.

Zawsze to utwór nowy, to projekt do jakiejś pracy z sobą przyniosła.

— Wie pani, — mówiłam jej nieraz, gdy wspólnie gawędziłyśmy o piśmiennictwie dla młodzieży, — byłoby bardzo dobrze, żeby taką oto rzecz napisać... bardzo potrzebna.

— Potrzebna?... Doprawdy?... Czekaście, zastanowią się. A tak... Doskonale!... Że to pierwiej na myśl mi nie przyszło... Napiszę... Zaraz się do pracy wezmę. Posłuchajcie-no... już mi się coś kleić w głowie zaczyna. Zacznę od tego punktu... Tak, tak, już to widzę, już mam całość przed sobą...

I rozsnuwała przede mną plan nowej pracy, zapadając co chwila w zadumę.



Widocznie myślą odbiegała od otoczenia, dążąc na nasze przed chwilą ujrzone szlaki...

— Ja to wam wkrótce przyniosę—kończyła, zabierając się do odejścia.

— Kiedy? —pytaliśmy z uśmiechem.

— Za tydzień... No, nie, to za prędko, ale za dwa tygodnie z pewnością.

— Niepodobna...

— Zobaczycie, stawię się na termin!

I nie uchybiła go nigdy.

Tworzenie przychodziło jej z wielką łatwością. Gdyby było inaczej, czyżby przy swoich licznych nauczycielskich i wychowawczych zajęciach, mogła była napisać tyle, ile napisała?...

Teresa Jadwiga tworzyła bez wysiłku, jak ptak, gdy śpiewa na gałęzi...

Myśli płynęły z taką szybkością, że często pióro nadążyć im nie mogło.

Pewnego wieczoru, dość już późno, wstąpiłam do Teresy Jadwigi po obiecany, a koniecznie na dzień następny potrzebny rękopis.

Zastałam ją uczącą małą hrabiankę.

— Pomagam jej trochę—mówiła—jeszcze nie przygotowała wszystkich lekcyi na pensyę... A rękopis...—zająknęła się—przyślę dziś jeszcze... Nie mogłam napisać. Tyle miałam lekcyi...

Tłómaczyła się, jakby zawstydzona... Na twarzy miała wypieki, oczy błyszczące gorączkowo.



Ujęłam ją za rękę.

— Pani droga, pocóż te lekcye? Czy podobna tak się zamećzać?... Proszę już o tem rękopisie na jutro nie myśleć!... Poradzi się jakoś!...

— Nie, nie, za nic w świecie! Przysięgam, dotrzymam. A że pracuję, to i co?.. Muszę śpieszyć się. Tyle mi jeszcze pozostało do zrobienia, a czasu nie wiele...

Nie omyliła się. Śmierć prawie nagle zabrała tę szlachetną, wysoce utalentowaną istotę.

Parę razy pół żartem, pół seryo mówiła do mnie:

— A już mój nekrolog niech mi nie kto inny, tylko pani napisze.

— Niewiadomo kto komu!— śmiałam się.— I ja tę samą prośbę zanoszę...

I rzeczywiście, ani mi na myśl nigdy nie przyszło, patrząc na nią, tak zawsze pełną życia, tak świeżą umysłem, tak rwącą się do pracy, że już nie długo gościć będzie z nami.

Teresa Jadwiga należała do najwybitniejszych autorek dla młodzieży, objęła ona różne działy literatury, głównie jednak powieść historyczną i obyczajową, pisała przeważnie dla starszej młodzieży.

Jej „Szlachetne marzenia“, „Kopciuszek“, „Opowiadania ciotki Ludmiły“, „Złe i dobre duchy“, „Dziedzic Otoka“, „Dwie siostry“ i inne

utwory, długie jeszcze lata z zajęciem czytywane będą.

Talizmanem dającym im długowieczność jest talent prawdziwy.

Muszę jeszcze wspomnieć o zasługach Teresy Jadwigi, jako nauczycielki. Liczny jest zastęp tych kobiet, które ongi w dzieciństwie słuchały jej wykładów, tak barwnych, tak plastycznych, że nieraz gdy skończyła mówić, młode słuchaczki siedziały w milczeniu jak zahypnotyzowane, wpatrzone oczami duszy w cudowne obrazy z naszej przeszłości, jakie wywołać przed niemi umiała.

I jeszcze jedno:

Teresa Jadwiga—w wolnych chwilach—prawda, owe „wolne chwile“ na ironię zakrawają, pielęgnowała z zaparciem się zupełnem chore swoje uczennice. Godziny całe, noce nieraz, gdy była potrzeba, spędzała przy łóżku chorej niestrużona, czerpiąca w samej pracy nową do pracy podniechęć.

— Urodziłam się na pielęgniarkę—mówiła, żartując sama ze siebie. — Ale cóż, kiedy ja tak je kocham te moje dziewczątka, tak mi żal, gdy są chore! Gdy jestem z niemi, zdaje mi się, że mniej cierpią...

Taką ona była.

Jadwiga Chrząszczewska.



Jan Kanty Gregorowicz.

## Z życia Jana Kantego Gregorowicza.

---

Od kilku dni sędziwego redaktora coś trapiło. Przeszukiwał w swym biurku wszystkie szuflady i szuflandki, zamyślony przeglądał papiery, jedno po drugim, zaglądał do listów, każdy skrawek papieru, jaki znajdował w swym gabinecie, zdawał się badać, na wskrótć przejmować ciekawym wzrokiem.

— Co się stało redaktorowi? — szeptali do siebie domownicy.— Zapewne zgubił jakiś ważny rękopis, a może dokument?...

Szuka czegoś i szuka... Nawet z roztargnieniem i obojętnie przyjął wiadomość, że jutro grają w teatrze jego „Werbla Domowego“, że cenzura nie puściła nowej powieści w „Tygodniku Mód i Powieści“.

Wtem Gregorowicz podniósł głowę i spojrział po obecnych z błyskiem radości w oczach.

— Acha!... już wiem, już sobie przypominam—wyrzekł półgłosem, jakby sam do siebie — zostawiłem ten list w szafie bibliotecznej, gdy porządkowałem tam książki... Tak, tam jest niezawodnie...

Wstał, zbliżył się do szafy, otworzył ją i rzeczywiście znalazł między książkami niewielki list w szarej kopercie, na której widniał adres dużymi literami ręką dziecinną skreślony: „Do redakcyi Przyjaciela Dzieci“.

— Mam cię nareszcie... Ach, jakżem rad, że ten list znalazłem!.. Wszystkie listy mam już z ostatniego tygodnia... tego mi tylko brakowało... A przecież zaraz muszę kochanemu mojemu czytelnikowi odpowiedzieć w „Przyjacielu...“ Toć on aż z Tobolska pisze...

I zwracając się do domowników, rozczarowanych w swych oczekiwaniach, bo sądzili, że sędziwy redaktor nie jakiś list dziecięcy, lecz co

najmniej czek na kilka tysięcy zgubił, i tak się tą zgubą przez kilka dni trapił — rzekł:

— Posłuchajcie, co to dziecko pisze.

„Kochany mój Przyjacielu!... Nie uwierzysz, jak nam się przykrzy do kraju, jak pragnęlibyśmy zobaczyć pola, łąki i bory nad Pilicą, gdzie jest nasza wioska kochana.. Tatusiowi klimat tu-tejszy nie służy, Mamusia teraz zdrowa, ale gdy przyjdzie długa zima, wielkie mrozy i śniegi, to nie wiem, co wszyscy zrobimy?... „Przyjaciela“ oczekujemy co tydzień z wielką niecierpliwością. Cieszymy się bardzo, kiedy go z poczty odbieramy, bo z niego dowiadujemy się tylu pożytecznych i tylu ciekawych rzeczy.

Pani Teresie Jadwidze, za jej opowiadania z dziejów ojczystych, panu Niemojewskiemu za wierszyki i panu Kuczalskiemu za „Pogadanki z ojcem“, z których poznajemy, jakie to cuda i piękności znajdują się w utworach Adama Mickiewicza, Lenártowicza i Syrokomli, serdecznie dziękujemy.

Niech kochany „Przyjacielu“ o nas nie zapomina i zechce nam doradzić, jaki najlepszy mamy kupić podręcznik do nauki historii Polski i geografii. A wie „Przyjacielu“, że nasz ulubiony pieśnik Buruś, to zaraz się łąsi i widać, że tęskni, jak usłyszysz, gdy czytamy: „Nasza Wisła ukochana swoje fale toczy przez kraj pszeniczny, polisty, uroczy...“

Albo: „Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!“

Widać, że nawet nierozumne zwierzątko tęskni do swego kraju... A jeszcze musimy się „Przyjacielowi“ zwierzyć, co robimy i jak tutaj dzień spędzamy...”

Sędziwy redaktor z zadowoleniem czytał dalej, lecz już nie głośno, poczem usiadł i zaraz zaczął pisać do rubryki „Odpowiedzi od Redakcyi“ serdeczną, ojcowską odpowiedź tym dzieciom polskim, zmuszonym przebywać tak daleko od kraju rodzinnego.

I któż podówczas tych odpowiedzi sędziwego redaktora nie znał?... Kto mu za nie z młodych wdzięcznym nie był?...

Dźwięczała w nich nuta serdeczna, rada rozumna, miłość dziatwy i młodzieży.

— Jeden list od moich młodych czytelników—mawiał—więcej dla mnie znaczy, niż sto od osób starszych... Te listy, to najmiłsza dla mnie lektura, największa nagroda za trudy i pracę...

A praca tego męża na polu piśmiennictwa dla ludu i młodzieży chlubną była i zbożną, choć znojną i trudną...

Wytrwał w niej jednak do końca dni swoich, umierając z piórem w ręku...

**Stefan Gębarski.**

---





Władysław Ludwik Anczyc.

## O ANCZYCU.

---

Władysław Ludwik Anczyc, autor książki „Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach“, bardzo kochał przeszłość ojczyzną, wszystkie prace jego tem uczuciem są przejęte, odbija się ono

w nich, jak promień słońca w kroplach porannej rosy.

Któżby więc utworów tego pisarza nie lubił? Któżby go dla młodzieży, dziatwy i ludu nie zalecał?...

Kochał Anczyc maluczkich gorąco, pragnął dla nich oświaty, umoralnienia i dobrobytu.

„Błazek opętany“, „Emigracya chłopska“, „Flisacy“, „Chłopi arystokraci“, sztuki znane powszechnie i lubiane, zawierały ziarna zdrowej dla ludu nauki. Wpływ na współczesnych utworami temi Anczyc wywierał znaczny.

W redagowaniu przez siebie piśmie, p. t. „Kmiotek“, umieścił wiele cennych utworów, pod pseudonymem Kazimierza Góralczyka.

W ciągu dwóch lat wydawał „Przyjaciela Dzieci“, przyczyniając się tem do założenia fundamentów naszego pisma. W roku 1863 założył i przez rok pierwszy redagował tygodnik, poświęcony podróżom, p. t. „Wędrowiec“. W tym to czasie napisał poemat p. t. „Tyrteusz“, który przedstawił go szerszej publiczności, jako poetę niepospolitego talentu i natchnienia...

W życiu prywatnem Anczyc odznaczał się skromnością, zamiłowaniem pracy i niezmiernem dążeniem do światła wiedzy.

Tym to rzadkim wśród nas przymiotem zawdzięcza wybitne w piśmiennictwie polkiem stanowisko.



Kolebką Anczyca było Wilno, gród Gedymina, pełen zabytków polsko-litewskiej przeszłości. Lata dziecinne i młodzińcze przebył w Krakowie.

Tu też większą część życia pracował, tu napisał mnóstwo książek dla ludu i młodzieży, tu w teatrze grywano jego komedye i obrazki dramatyczne; zgasł w roku 1883 w dniu 28 lipca.

Od tego czasu upłynęło przeszło ćwierć wieku, ale prace Anczyca są jakby wczoraj pisane, takim tchną życiem i szczerością.

I cóż to sprawia?... Oto znamienne dwie cechy charakteru Anczyca, miłość wielka ojczyzny i szczery talent, rozwinięty i wzmocniony przez naukę i usilną, umiejętną pracę.

---

## Z życia Henryka Wernica.

---

Był to jeden z niewielu pierwszych u nas po roku 1863 pracowników na niwie pedagogicznej.

Wykształcony gruntownie, władający wielu językami, mógł zdobyć stanowisko na wdzięczniejszym, niż pedagogia polu. Ale on wybrał pedagogię, bo w niej widział największą korzyść dla przyszłości kraju ojczystego.

Pracował więc całe lata dla młodych, pisał podręczniki, rozprawy, broszury... Pisał też i dla „Przyjaciela Dzieci“.

A był już wówczas starcem, ociemniałym, schorowanym.

Pewnego razu wchodzę do jego więcej niż skromnej izdebki i widzę, że dyktuje jakiś artykuł z angielskiego.

Nie przerywałem, siedzę cicho.

Wreszcie usłyszał, że wszedł ktoś obcy, prze-  
rwał swą pracę i na moje słowa powitania, a na-  
stępnie utyskiwania na różne przeciwności i zgry-  
zoty życiowe, zawołał z żywością i przejęciem:

— A to co znowu za żale?... za treny?... za  
wyrzekania?... Pamiętaj pan, jesteś młodym i Po-  
lakiem... Wiedz więc, że przedewszystkiem nam  
nie wolno ani chwili czasu tracić na próżne ża-  
le i rozpacz... Myśmy w każdej chwili tylko o pr-  
cy myśleć powinni, a serca w górę wznosić... Sły-  
szysz, serca do góry wznosić... ręk nie opuszczać—  
oto nasz obowiązek!..

— Mam tu oto artykuły do „Przyjaciela  
Dzieci“ — dodał po chwili milczenia—i kilka po-  
wiastek... Wczoraj je i dziś po czwartej z rana  
sam napisałem, choć z trudem mi to przyszło, bo  
wiesz, że od lat kilku już zaniewidziałem, więc  
trzymając się specjalnej linijki drewnianej, zwol-  
na pisać muszę...

Podał mi rękopisy, a ja wzruszony, z cale-  
go serca uścisnąłem dłoń starca, który do ostat-  
nich chwil swego pracowitego żywota, wśród nie-  
szczęść i przeciwności, zachował tę moc, która  
zdumiewa i z ludzi zwykłych bohaterów czyni.

**Stefan Gębarski.**

---

# Z przeszłości „Przyjaciela Dzieci”

NAJCELNIEJSZE WYJĄTKI.

---

PROZA.

JAN KANTY GREGOROWICZ.

---

## „TRAFIŁA KOSA NA KAMIEŃ“

Obrazek dramatyczny.

---

### OSOBY:

Olesia }  
Janek } rodzeństwo

Kasia, usługująca Olesi.

Wiktor blizki kuzyn Olesi i Janka.

Tadeusz, około lat 40.

Rzecz dzieje się na wsi u rodziców Olesi i Janka.

### SCENA I.

*(Teatr przedstawia pokój, na boku stoliczek, pod ścianami kilka krzesełek. Olesia wchodzi w ka-*

*peluszu okrągłym. i z koneweczką ogrodową  
w ręku).*

Olesia. No, Bogu dzięki, już wszystko podlane, a chociaż to była praca niemala, ale cieszę się nią, bo domek nasz wygląda jakby opasany wieńcem kwiatów! Od frontu pod oknami same różyczki, a jakie śliczne! *(ze smutkiem)* zawsze zarumienione, nie tak, jak ja, bo czasami przestraszona gniewem Wiktora błednę, jak kre-da. Pomiedzy niemi stoją duże krzaki gieorginii, duże, bardzo duże, prawie mnie równe. Te co pąsowo kwitną, podobne są do Kasi, kiedy skłamię. Poczciwa dziewczyna zawsze wtenczas pąsem się zaleje. Proso znown tureckie, co pod mo-jem rośnie okienkiem, przypomina mi Wiktora, bo zawsze jak indor z nosem zwieszonym gniewa się i gurdoli. Gdyby go to można tego oduczyć! Ale gdzie tam! jak tupnie nogą, spochemrzy się, ściśnie pięści... to gotowam w ogień skoczyć, żeby kazał. Oh, ten Wiktor! Nie cierpię go... ale on Janka tak kocha! Kiedy chorował, to go codzień odwiedzał, bawił, rozrywał, czytał... *(po namyśle)*. Więc go cierpieć będę, ale tylko troszkę, pół serduszkim, dla takiego krzykały, to dosyć, aż nad-to *(stawia koneweczkę na boku sceny)*.

Zapewne nie długo przyjedzie, a ma takiego samego konia, jak on niespokojnego. Zawsze łbem trzęsie, kręci się, grzebie nogami, i choć boję go się okropnie, jednak muszę go pogłaskać,

jak Wiktor każe. — Co to za niezdolny chłopiec!.. Powiada, że wierzchowiec jego, to czysty Arab. Jeżeli tacy wszyscy Arabi, to i Wiktor mnsi z Arabów pochodzić, bo także macha rękami, rzuca się i trzęsie głową. (*Bierze zaczęłą robotę ze stoliczka i siada przy nim*). Kiedy rodziców niema i nie wrócą, dopiero wieczorem, trzeba kończyć kołnierzyk dla mamy na imieniny. Na krok nie ruszę się dziś z domu, a jak Janek przyjdzie z pola, to go nie puszcę tak prędko. Nie widziałam go blisko pół roku, wczoraj dopiero wrócił na wakacje, musi mi więc wszystko o sobie opowiedzieć, jak mu szły w szkole nauki, jak się bawił, czy pamiętał o mnie, a już tego mu nie daruję, że tak rzadko pisywał.

## SCENA II.

### Olesia i Kasia.

Kasia (*za sceną*), Panienko! panienko! (*otwiera drzwi i zatrzymując się w nich, mówi szybko, wskazując ręką*). Panienko!... patrz, panienska, jakto pan Wiktor pędzi przez ogród na koniu!

Olesia. Przez ogród? (*podbiega szybko do okna*). A mój Boże!

Kasia. Nie nie pyta, tylko tak sunie, jak po równej drodze.

Olesia (*łamiąc ręce*). Ach! moje kwiatki kochane, moje truskawki, maliny!..



Kasia. To termedyi narobi! O! teraz pędzi przez groch cukrowy... będzie dopiero grochowi słodko! Żeby choć kark sobie skrzył...

Olesia. Kasiu! co ty mówisz?

Kasia. Nie wadziłoby, panienko, możeby się wtedy poprawił i nie był taki impetyk. To on tak, panienko, do panicza spieszy, bo zdjął czapkę i jakto kiwa nią i wykrzykuje!..

Olesia. Widzisz, jaki pocziwy, jak kocha Janka.

Kasia (*z gniewem*). Co przy takiej szkodzie znaczy kochanie?.. Ale mu tego nie daruję, wypowiem wszystko...

Olesia. Nie rób tego, moja droga!

Kasia. Ja się go tam nie boję. Panience wolno, ale dla mnie on nic nie znaczy.

Olesia. Patrz, zeskoczył z konia...

Kasia. I puścił go wolno... sam przez płot przełazi... a! mój Boże, toć on wszystko zrówna z ziemią! (*bierze się za głowę i wybiega*).

### SCENA III.

Olesia, sama, później Wiktor, Janek  
i Kasia.

Olesia (*siadając przy robocie*). Prawda, że ten Wiktor nikomu nie umie się spodobać? Każdemu dokuczy i narazi się. Mnie samą aż dreszcze przechodzą, ile tylko razy dowiem się, że

przyjechał... (*zajmuje się pilnie robotą*). O! dziś ani chwili nie zmitręzę...

(*Za sceną słychać wycieranie nóg i rozmowę*). Wkrótce wchodzi Wiktor z prętem w rękę i Janek. (*Wiktor mówi żywo, śmiało; zachowuje się niezmiernie ruchliwie*).

Wiktor. Jak się masz, moja Olesiu? Zawsze z robotą w rękę, jak to pięknie dla młodej paniecki! Wierżaj mi, że to zachwycę! (*nagle zwraca się do Janka*). A zatem z nami nłożone, za godzinę najdalej wyjedziemy, u mnie przenocujesz, a jutro...

Olesia. Gdzie wyjedziecie?

Wiktor (*niecierpliwie*). No, do mnie, czy nie wiesz, gdzie mieszkamy (*do Janka*). Jutro pojedziemy do Julka, bo mu przyrzekłem.

Olesia. Za pozwoleniem pana Wiktora, Julek może tu przyjechać. (*Wchodzi Kasia, staje tuż za Olesią i opowiada jej do ucha szkody w ogrodzie popełnione przez Wiktora*).

Wiktor. Za pozwoleniem panny Olesi, ale tak zrobimy, jak chcemy? (*do Janka*). U Julka zabawimy dzień cały i potem zabierzemy go z sobą do Gucia.

Janek. Bardzo wszystko dobrze, tylko...

Wiktor. Ach! jak ja tego tylko nie lubię... Ale słucham, cóż chciałeś powiedzieć?

Janek. Widzisz, mój drogi, ja wczoraj dopiero przyjechałem.

Wiktor. Więc cóż z tego?

Olesia. Rodzice dziś...

Wiktor. Przepraszam, ale nie z Olesią rozmawiam.

Kasia (*do Olesi*). Jakiż on zły, rychtyk jak nasz ekonom.

Wiktor. Kiedy wczoraj wróciłeś, mój Janku, to dziś możesz jechać.

Janek. Zapewne, ale dziś rodzice wyjechali i mało się z nimi jeszcze widziałem...

Wiktor. Jeszcze się z sobą dosyć nacieszycie, a jak raz się co postanowi, to nie lubię, żeby to zmieniano.

Janek. Ale w tym razie...

Wiktor (*z wielką niecierpliwością*). Jacy wy nudni i nieznośni z tem sprzeciwianiem się, to prawdziwie nie do zniesienia! Każde z was pragnęłoby zawsze tylko na swoim postawić. (*Przechadza się w głębi sceny*). Dlaczego-m ja nie taki?

Kasia (*do Olesi*). Jaki on zły, jaki zły, jak borsuk!..

Olesia. Cicho, Kasiu, bo mógłby usłyszeć.

Kasia. A co szkody w ogrodzie narobił, to jak kret, wszystko skotłosił. Furtkę wyrwał z zawias, przewrócił jabłoneczkę panienki...

Olesia. Cicho, Kasiu, bo usłyszeli!

Kasia. A niech usłyszeli!.. Czy panienka myśli, że go się boje!..

Wiktor (*zatrzymując się w pewnej odległości od Kasi*). Co tam mruczysz pod nosem?

Kasia (*występując cokolwiek ku Wiktorowi, mówi śmiało*). Ja nie mruczę, tylko mówię do panienki.

Wiktor (*biegnie prędko ku Kasi i trzęsie pręcikiem*). Cicho, mamrotko! skąd takie zuchwalstwo? A ty co sobie myślisz?

Kasia (*chowając się za Olesię*). O joj! moja złocista panienczko, broń mnie!..

Wiktor (*grożąc prętem*). No! pamiętaj, bo jak mi raz jeszcze zaszcebioczysz swoim wygadany językiem, to pożałujesz...

Kasia (*cicho do Olesi*). A to zły dopiero, jak nasz kogut, kiedy goni ludzi.

Wiktor (*do Olesi*). Cóż to za pilna robótka w rączkach Olesi?

Olesia. To dla mamy na imieniny.

Wiktor. Ach! dobrze, żeś mi przypomniała, bo właśnie przygotowałem niespodziankę, z której, zaręczam, że będziecie kontenci.

Olesia i Janek. Cóż takiego? Cóż takiego?

Wiktor. Odegramy małą scenę dramatyczną z czasów wojen z Turkami, podzieloną na dwa obozy. W pierwszym Olesia będzie Roksołaną, ową sławną sułtanową turecką. Będziesz siedziała na pięknym tronie w zawoju osłoniętym białym woalem i w haftowanych mesztach.

Kasia. Co to są za meszty?

Wiktor (*z zarozumiałością*). Tak się pantofle po turecku nazywają, ale to nie na twoją głowę.

Kasia (*z równą zarozumiałością*). Ba, wiem przecie, że pantofle to na nogi, nie na głowę.

Wiktor. Fiu! fiu! to Kasia bardzo mądra!

Kasia. Ba! (*do Olesi*), widzi panienka, jak mnie pochwalił.

Wiktor. Ty, Janku, będziesz w imieniu wszystkich niewolników przemawiał jako niewolnik także, Kasia będzie twoją córką.

Kasia. Ja córką panicza! hi! hi! hi! (*chowa się za krzesło*).

Wiktor. Cicho! A to co nowego!? Cały dyalog już napisany, autora później wymienię. Prześliczny! powiadam wam prześliczny, umiem go na pamięć! Ja będę baszą tureckim i cały tłum niewolników przyprowadzę przed Olesię, to jest przed Roksolanę, a wtenczas, Janku, powiesz: Najjaśniejsza sułtanko, piękna Roksolano... ale czekajcie, lepiej to zrozumiecie w wykonaniu. Chodź, Janku, chodź, Kasiu! (*ciągnie ich gwałtownie na środek sceny i ustawia twarzą do Olesi*). Olesia zostanie w miejscu... tylko ta robota teraz w ręku nie potrzebna... Daj ją, Olesiu!

Olesia. Ależ, mój drogi, to dla mamy na imieniny...

Wiktor. Dobrze, dobrze, ale przy próbie

niewłaściwie zajmować się robotą (*z gniewem odbiera robotę i rzuca ją na krzesło*).

Olesia. Wiktorze, co ty robisz?

Janek. Wiktorze, uważ, że to...

Wiktor. Ach! jacy wy nudni, z temi uwagami. Zawsze u was na ustach: „zważ, uważ, co robisz?” i zawsze na swoim chcecie postawić! Taką niewyrozumiałość, to prawdziwe męczeństwo... Ja nikogo do niczego nie przymuszam, a wy koniecznie mnie chcecie przymusić do swoich przywidzeń!

Janek. Ależ, mój Wiktorze!..

Wiktor. Znowu morały! (*z największym gniewem zaczyna się przechadzać w głębi sceny*). To szczególnie! uwzięli się wyraźnie na mnie!

Kasia (*cicho do Janka*). To zły dopiero! gorgoli jak indor, że aż skóra cierpie!.. Stań paniez przy mnie... Niech robi co chce, nic już temu nie poradzi.

Olesia. Janku, trzeba mu ustąpić, bo on u nas w gościnie.

Janek (*stając przy Kasi*). Masz słuszość! Wiktorze, prosimy, już jesteśmy gotowi, tylko nie gniewaj się na nas!

Wiktor (*ciągle z gniewem*). Któż się na was gniewa? Przecież nie ja, bo najspokojniej ciągle rozmawiam.

Janek. Więc jaka to będzie przemowa do Roksolany?

Wiktor. A widzicie, żeście ciekawi! Ty, Olesiu, powinnaś mieć wzrok dumny, jak przystoi sułtance i Turczynce...

Kasia (*do Janka*). To panienska będzie Turczynką? hi! hi! hi!

Wiktor (*tupiąc nogą*). Cicho! a to co nowego! (*Kasia z przestraczem nagle się uspokaja*).

Wiktor. A teraz wy, niby niewolnicy, idźcie za mną (*posuwają się za Wiktorem ku Olesii*) Teraz ja składam pokłon, a wy padacie na kolana...

Olesia. To już nie potrzebne.

Kasia. Albo to kościół, czy...

Wiktor (*ze złością zwraca się ku Kasi, machając prętem*). Ej, jak kropnę!...

Kasia. Aj! (*chowa się za krzesło Olesii*).

Wiktor. To język niewytrzymały! Dlaczego ja nikomu nie przerywam!

Kasia (*do Olesii*). Zły jak gadzina! Tylko, tylko, co mnie nie ukąsił!..

Wiktor. Po ukłonie Janek tak przemówi, tylko pamiętaj deklamować pięknie, ot, słuchaj! (*deklamuje z niezmierną przesadą*). Najjaśniejsza sułtanko, piękna Roksolano! W kolejnym przebiegu rozbujających żywiołów, co piętrząc się po stopach marmurowych granitów, wstrząsając całym światem, niby rozhukane wody oceanu, my, biedni niewolnicy, w okrutne łańcuchy niewoli, co opasują nas jak węże...



Kasia (*załamując ręce*). Jak węże!... mój Boże!

Wiktor (*z uśmiechem*). Podobają ci się? Słuchaj dalej: „co opasują nas jak węże, przysuwamy się do stóp twoich, piękna sultanko, abyś z oczu swych płonących promieniami całego firmamentu, spuściła na nas spojrzenie, niby krople rosy, zbierane ze skrzydeł aniołów, śpiewających przed oblicznością Boga jego chwałę, moc i potęgę!“ (*Wiktor spogląda tryumfująco, Kasia z podziwieniem pokręca głową, Janek spogląda na Olesię i oboje podnoszą ramiona*).

Wiktor. A cóż?... Jakże się wam podoba?

Kasia. Ślicznie, paniczu, ślicznie, tak mi się kręci w głowie, jak wtedy, kiedyś tylego, jak pięść, usadziła na niej guza.

Wiktor. To ja napisałem (*podpiera obie ręce na biodrach i spogląda na Olesię i Janka z wielką dumą*). Tak, ja jestem autorem tego dramatu! Prawda, jaki śliczny!... Napracowałem się ogromnie, ale mi się udało zupełnie. Cóż, Olesiu, cóż, Janku, nie prawda?...

(*Olesia z Jankiem spoglądają się na siebie z pomieszaniami*).

Kasia (*do Olesi cicho*). Jaki on mądry, panienko, to aż strach, jak nasz organista!..

Wiktor. W podobnym stylu i treści cały dramat jest ułożony. Mam go przy sobie w rękopisie, to go, Olesiu, przepisziesz i zaraz rolę roz-

bierzemy (*oddaje jej rękopis*), a teraz moi drodzy, pójdziemy do gaju, użyć chłodu i przechadzki. Dalej, Janku i Olesiu!..

Olesia. Ale ja mam robotę...

Wiktor (*niecierpliwie*). Jaka z tą robotą jesteś nudna. Robota nie ucieknie, zrobisz ją po naszym wyjeździe, a teraz marsz, panienczko, na spacer z nami! (*bierze Olesię pod rękę i niby żartem zmusza ją do powstania*). W gaju tak ślicznie, tak chłodno, tak ptaki śpiewają...

Janek. Ale już zmęczony przechadzką...

Wiktor. Nic nie szkodzi, odpoczniesz sobie na koniu...

Olesia. Ależ mój Wiktorze, kończę wiązanie dla mamy.

Wiktor (*popychając Olesię ku drzwiom*). Jeszcze czasu dosyć, nawet dwa wiązania, nie jedno wykończysz.

Janek. Ale mama rzadko wyjeżdża, a wiązanie ma być tajemnicą. Niech więc Olesia zostanie...

Wiktor (*z największą niecierpliwością*). Tak ze mną postępujecie, jakbyście byli mi nie radzi. Jeżeli wam jestem ciężarem, to powiedzcie, a w tej chwili uwolnę was od swojej obecności.

Janek. Ależ mój Wiktorze!

Wiktor. Ależ mój Janku, przyznasz sam, że mi się ciągle sprzeciwicie. Ja biało, to wy

czarno—ja czarno, a wy biało. To ani grzecznie, ani gościnnie...

Olesia (*dając znak Jankowi*). Więc chodźmy, tylko się, mój Wiktorze, nie gniewaj, bo wiesz, jakby to nam było przykro..

Wiktor. Ale któż się gniewa! Ja nigdy się nie gniewam i nigdy nikogo do niczego nie przymuszam.

Olesia (*kładąc kapelusz na głowę*). Chodźmy! chodźmy! (*z westchnieniem chowa robotę do szuflady stolika i rękopis dany przez Wiktora*).

Wiktor. Zobaczycie, jak będziecie mi wdzięczni za przechadzkę. Ty zaś, Kasiu, przygotuj suty podwieczorek, masło, mleko i śmietankę, bo czuję, że będę głodny, jak chart po polowaniu. *Wiktor bierze Olesie pod rękę i wychodzi z nią, za nimi idzie Janek*).

#### SCENA IV.

Kasia (*sama podchodzi na przód sceny, wzdycha, jakby ze zmęczenia i mówi po chwili*). A to dopiero złośnik! Czysty opętaniec! W domu jak mruknie, to wszystko tak się kręci jak ka-  
że! Żeby w ogień, żeby w wodę, żeby nogi poła-  
mać, musi każda rzecz stać się według jego woli. Ale mądry nie lada! Przecież ja znam wiele rze-  
czy (*liczy na palcach*). Czytam co tydzień „Przy-  
jaciela Dzieci“, piszę litery na kajecie, umiem ra-

chować, zawsze zgadnę, która godzina na zegarze tylko czasem się omyłę, rozumiem każdego co mówi, a nawet po francusku zarywam i jak pana Luiza powie Kasia „bête“, to potem wszyscy się śmiejemy, a ja aż się biorę za boki. Umiem więc wiele rzeczy, a jednak pomiarkować nie mogę mówienia pana Wiktora! Kiedy to panienska była Turczynką, a my niewolnikami? Ale ja tu gadu, gadu, a o podwieczorku zapominam... Oj! byłoby to było, żeby pan Wiktor po powrocie nie zastał wszystkiego, jak rozkazał (*bierze się za głowę*), Jezus Marya! chybaby nam wszystkim głowy powyrywał.

(*Wybiega śpiesznie i w samych drzwiach spotyka się z Tadeuszem*).

## SCENA V.

### Kasia i Tadeusz.

Tadeusz. Gdzież tak spieszysz, dziewczeczko? Zaczekaj chwilkę, wszak państwa niema w domu!

Kasia (*zdumiona*). A niema!

Tadeusz. Olesia, Janek i Wiktor poszli do gaju na przechadzkę!

Kasia. A poszli! (*do siebie*). Skąd to on wie wszystko! Co to za jeden?

Tadeusz. Dziwisz się zapewne, skąd się wzięłam i pragniesz wiedzieć, co jestem za jeden!

Kasia. Ma się rozumieć, bo ja nie znam pana.

Tadeusz. Dowiesz się, moje dziecko, siada na krzeselku.

Kasia (*do siebie*). Jakiś grzeczny człowiek. To nie pan Wiktor.

Tadeusz. Powiedz mi, co się u was dzieje?

Kasia. Ho! ho! nie jedno, proszę pana, nie jedno! Rano uprzątam w pokoju u panienki, potem u panny Luizy, potem...

Tadeusz. Potem sama się ubierasz, jesz śniadanie, nakrywasz do stołu, wiem już, wiem. Ale nie o to pytam się.

Kasia (*do siebie ze zdumieniem*). Jaki on mądry, jak on wie wszystko, no, no!..

Tadeusz. Chciałem się dowiedzieć, moja dziewczeczko, co tu pan Wiktor dokazuje?

Kasia. Pan Wiktor? Ej! proszę pana, on nic nie dokazuje, tylko rozkazuje, i jak fuknie tak choćby koziołka przewrócić, każdy zaraz fik! jak każe.

Tadeusz (*do siebie*). Więc się nie odmienił i został takim jak mi donoszono. Szczególny charakter! (*po chwili namysłu*). Trzeba korzystać ze sposobności i dać mu porządną nauczkę.

Kasia (*do siebie*). Co on tak myśli? Pewno układa nową dla nas komedję, dla pani na imieniny (*głośno*), przepraszam pana, że odchodzę, ale mi pilno.

Tadeusz. Dokąd tak spieszysz, moje dziecko?...

Kasia. Idę przygotować podwieczorek dla pana Wiktora.

Tadeusz. Dla pana Wiktora?

Kasia. A tak, bo kazał.

Tadeusz. On kazał?

Kasia. A tak, pan Wiktor, i jakby go nie zastał, to trzebaby chyba uciec z domu, bo by takiej narobił breweryi!.. Prełt ma zawsze w ręku gięty, a tak nim macha, że aż strach!

Tadeusz. Zatrzymaj się, moja Kasiu! (*zamyśla się*).

Kasia (*do siebie ze zdumieniem*). Skąd on wie, że ja Kasia? No, no!..

Tadeusz. Proszę cię, moja Kasiu, zrób tak, jak ci powiem, i żadnych do podwieczorku nia rób przygotowań.

Kasia (*z przestraczem*). Aaj! a pan Wiktor?

Tadeusz. Już ja go biore na siebie, a że jestem przyjacielem twoich państwa, więc mam większe prawo od niego do wydawania tutaj zakazów.

Kasia. No, to prawda, ale żeby pan wiedział, jak się tu pan Wiktor rozporządzał...

Tadeusz. Widziałem i słyszałem wszystko przez okno z ogrodu...

Kasia (*przestraszona do siebie*). Z ogrodu!

pewno znowu panience kwiatki podeptał! (*chce wybiedz, za sceną słysząc wycieranie nóg, wraca więc z przestraczem i staje za krzeselkiem, na którym siedzi Tadeusz*).

Kasia. O! mój drogi panie, panicze wracają, broń mnie, broń!

Tadeusz. Bądź spokojną, zaufaj mi zupełnie. (*Kasia drżąc, powtarza po kilka razy z komycznym przestraczem*). O! mój Boże! jak ja się tu z tego wykręcę. A tom sobie dała chleba...

#### SCENA VI.

Ciż sami, Wiktor, a później Olesia  
i Janek.

(*Wiktor wbiega z oznakami znużenia, zatrzymuje się na proscenium, z przeciwnej strony od Tadeusza i nie zważając na niego, mówi rozkazująco*).

Wiktor. Kasiu! podwieczorek natychmiast, bom głodny jak wilk. (*Kasia przestroszona do Tadeusza*). Słyszysz pan, jak już mnie wilkiem straszy?

Tadeusz. Uspokój się!

Wiktor (*groźnie*). Słyszałaś, Kasiu! gdzie podwieczorek?

Kasia. Pod... wieczorek... pod... pod...

Wiktor (*przedrzeźniając powtarza z największym gniewem*). Pod... pod... pod... pod... pod...



wieczorek (*tupie nogą*), gadaj mi zaraz, coś zrobiła z podwieczorkiem?

Kasia (*z przerażeniem na wpół z płaczem*). Proszę panicza, ja nie nie winna... ja chciałam... ale... (*wchodzą Janek z Olesią, składają kapelusze i później z Kasią rozmawiają w głębi*).

Kasia. Nie... bo...

Wiktor. A ty niegodziwa dziewczyno! (*biegnie ku niej, wywijając prętem, ale kiedy prze-suwa się około Tadeusza, ten wyrzywa pręt, łamie na drobne kawałki i potem najspokojniej siada na krzeselku*).

Kasia. Hi! hi! hi! (*biegnie do Olesi*).

(*Wiktor w osłupieniu zatrzymuje się, wraca wolno na środek sceny, spoglądając zdziwiony, to na Tadeusza, to na połamany pręcik*).

Wiktor (*po chwili*). Co to znaczy?

Tadeusz. Nic, zwyczajna rzecz, połamałem pręcik, bo mi się tak spodobało.

Wiktor. Ale mnie się to niepodoba.

Tadeusz. A cóż mnie to obchodzi

Wiktor. Ale mnie...

Tadeusz (*tupiąc nogą z gwałtownością*). Cicho! nie lubię, żeby mi się sprzeciwiano.

Kasia (*cicho do Olesi i Janka w głębi sceny*). A to dopiero pan!

(*Wiktor w opałach*).

Wiktor. Przyznam się panu...

Tadeusz (*niecierpliwie*). Ach! jakiś ty nie-  
znośny, mój Wiktorze! ciągle mi się sprzeciwiasz:  
ja biało, to ty czarno, ja czarno, a ty biało, przy-  
znasz, że to ani grzecznie, ani gościnnie!...

Wiktor (*ze zdziwieniem*). Ja się sprzeci-  
wiam! To pan się gniewa...

Tadeusz. Ja się gniewam? Ja nigdy się  
nie gniewam i nigdy nikogo do niczego nie przy-  
muszam.

Kasia (*w głębi sceny, parskając śmiechem*).  
Hi! hi! hi! (*po cichu do Olesi i Janka*). Gada jak-  
by pan Wiktor, kiedy w złości ledwo głowy nie  
urwie, hi! hi! hi!

(*Chwila milczenia, Wiktor stoi, hamując unie-  
sienie, Tadeusz uśmiecha się skrycie, Kasia ciągle  
ma ochotę chychotać, ale zatyka usta rękami*).

Wiktor. Przyznam się, że mnie to wszyst-  
ko równie dziwi jak oburza.

Tadeusz (*klepiąc Wiktora po ramieniu*).  
I jedno i drugie schowaj do kieszeni i z niczem  
podobnem nigdy się nie popisuj przy starszych.

Wiktor (*obrażony*). Cóż to znaczy? Czy  
mogę wiedzieć, z kim mam honor mówić?

Tadeusz. Później ci powiem, a teraz słu-  
chaj...

Wiktor (*z gniewem, podnosząc głos*). Ale  
ja nie chcę słuchać...

Tadeusz. Tylko bez krzyku, bo tego nie  
lubię!...

Kasia (*po cichu*). Hi! hi! hi!

Tadeusz. Napisałeś podobno dramat dla Janka i Olesi, radbym go przeczytać.

Wiktor (*uradowany*). Tak, napisałem, zagramy go na imieniny cioci.

(*Kasia wyjmuje rękopiś z szuflady i podaje go Tadeuszowi*).

Kasia. Oto jest, proszę pana, napisany strasznie mądrze, panienka ma być Turczynką, a my, jak węże opasani łańcuchem.

Wiktor (*z zarożumieniem*). To jest utwór wyższego znaczenia. Każdy, kto go czytał, unosił się zachwycony, uwielbiając genialność i wytworność stylu.

Tadeusz (*rozwijając rękopiś*). Zobaczmy, co to za arcydzieło! (*siada i czyta*).

Wiktor (*do Janka i Olesi po cichu*). Co to za jeden?

Janek. Nie wiem, mój drogi, nie znam go. Przyjechał powozem, ale piechotą przeszedł przez ogród, a furman z powozem zajechał przed stajnię...

Olesia. Zapewne znajomy jakiś rodziców, bo go pierwszy raz u nas widzę.

Wiktor. Jakiś awanturnik, widzicie jednak z jakim czyta zajęciem? Patrzcie, jak się uśmiecha! Dobrze, że pozna, z kim ma do czynienia.

Kasia. Powiedział, że jest przyjacielem państwa, a wysłuchał wszystkiego w ogrodzie pod

oknem, i widać, że to prawda, bo ciągle tak gada, jak pan Wiktor.

Wiktor. Co też pleciesz!? Czyżem ja taki brutal?

Kasia. Takusieńki, kubek w kubek, jak brat rodzony.

Wiktor (*podnosi rękę*). Ej!...

Kasia (*usuwając się na bok*). Jak to do brze, że pręta niema w ręku.

Tadeusz (*przystając czytać, składa rękopis*).  
Prześliczne cacko... mój Wiktorze!

Wiktor (*tryumfując*). A co, nie mówiłem?

Tadeusz. Robota bez sensu, ładu i składu, ani jej zrozumieć, ani przeczytać nie można. (*Drze i rzuca na ziemię*).

Wiktor (*zagniewany*). Przyznam się... przyznam otwarcie...

Janek (*do Tadeusza z największą dobrocią*). Przepraszam pana dobrodzieja, ale Wiktor— nasz kuzyn.

Tadeusz. Wiem to dobrze.

Janek. Jest u nas w gościnie, winniśmy się więc starać robić mu we wszystkim przyjemność, a pan dobrodziej tyle przykrości mu sprawiał...

Olesia (*z dobrocią*). To nas boli i martwi.

Tadeusz (*do siebie*). Pocziwe dzieci! (*głośno*). Ujmowanie się wasze za kuzynem bardzo

chwalebne, ale nic nie szkodzi, że usłyszysz słowa prawdy, to mu jest potrzebne i konieczne.

Wiktor (*z szyderstwem i zarozumiałością*).  
Dajcie pokój, czyż warto? Każ lepiej, Olesiu, zastawić podwieczorek, bom głodny ogromnie. (*Olesia chce wyjść, zatrzymuje ją Tadeusz*).

Tadeusz. Nie trzeba, Olesiu, jeść nic nie będę! (*Olesia się zatrzymuje*).

Wiktor. Ale ja głodny...

Tadeusz. A cóż mnie to obchodzi? Pogadamy sobie.

Wiktor. Ale kiedy ja do gawędy najmniej nie mam ochoty.

Tadeusz. Ale ja mam ochotę, a że jestem starszy, więc jako gościowi, mnie się należy pierwszeństwo we wszystkim.

Wiktor. Ależ proszę pana...

Tadeusz. Ach! jakiś ty nudny, ja nikogo do niczego nie przymuszam, to dla czegoż ty mnie chcesz przymusić do jedzenia? Zawsze mi się sprzeciwiać lubisz.

Wiktor. Wybacz pan...

Tadeusz. Nic nie wybaczę, dopóki się nie uspokoisz.

(*Wiktor wzdycha i porusza ramionami*).

Kasia (*do Olesi*). Ten pan, to zupełnie taki, jak pan Wiktor.

Wiktor (*pomieszany*). Jak ja? Czy to podobna?

(*Chwila milczenia*).

Wiktor (*z nieśmiałością i przymuszonym uśmiechem do Tadeusza*). Przepraszam pana do-  
brodzieja, ale powiem otwarcie, że zjadłbym ko-  
nia z podkowami.

Tadeusz. Ej, zdaje ci się!

Wiktor. Ale zaręczam, że nie zdaje mi się.

Tadeusz (*z opryskliwością*). Nie nudź  
mnie!

Kasia. Hi! hi! hi! Akurat jak pan Wiktor.

Wiktor (*do Olesi i Janka*). Czy to prawda?

Janek (*zbliża się do Wiktora*). Nie smuć  
się, mój Wiktorze, my z Olesią zawsze cię szcze-  
rze kochamy i nie zapomnimy nigdy, jak byłeś  
dla nas dobry w czasie choroby.

Olesia. To prawda, zawsze wierzymy twe-  
mu dobremu dla nas sercu.

Wiktor (*smutnie*). Dziękuję wam, ale już  
pojadę do domu. Janka nie namawiam z sobą, po-  
jedziemy wtenczas dopiero, jak zechcesz i zawi-  
domisz mnie o tem.

Janek (*z Olesią*). Jakiś ty dobry, mój Wi-  
ktorze!

Kasia (*ze zdumieniem*). Jaki on pokorny!

Tadeusz. Wiktor zostanie jeszcze, bo gło-  
dny nie może jechać

Wiktor. Już mi się jeść nie chce (*zapina  
surdut*).

Tadeusz. To nie nie szkodzi, zostać jednak możesz.

Wiktor (*wpadając w uniesienie*). Ale kiedy... (*powstrzymuje się*), ale kiedy spieszy mi się do domu, już późno!

Tadeusz (*pokazując klucz*). Mam klucz od stajni, konia nie dostaniesz i musisz zostać.

Kasia. A to Wiktorrek wpadł w łapkę (*ze zdziwieniem*) jaki on pokorny!...

(*Chwila milczenia*).

Tadeusz. Cóż dziwisz się, Wiktorze, memu postanowieniu?

Kasia. Ba! ja dziwię się, a cóż dopiero pan Wiktor!

Tadeusz. Nazywasz je zapewne niegrzecznem, brutalnem, naprzykrzonem, nieznośnem? Powiedz prawdę? (*Wiktor waha się w odpowiedzi*).

Kasia. Jak nazywa się, to nie wiem, ale wiem, proszę pana, że pan Wiktor akurat tak robił z nami, jak pan z panem Wiktorem. Jak zaczął się rzucać, krzywić, machać rękami i wrzeszczeć jak opętany, to każdy z nas tak tańczył, jak on zagrał, czy mazura, czy walca, czy polkę..

Olesia i Janek. Kasiu, co ty mówisz?

Kasia (*do siebie*). Jaki on pokorny, jak mucha przed zimą.

Wiktor. Kasia mówi prawdę, a ja wstydzę się sam przed sobą.

Tadeusz (*wyciągając ręce ku Wiktorowi*).



Wiktorze, niech cię przytulę do swego serca! Jestem stryjem twoim!

Wiktor (*z radością*). Stryjem Tadeuszem?

Tadeusz. Tak, tym samym. Po tylu latach, odwiedzając po raz pierwszy twego ojca, wypadek chciał, że cię tu spotkałem.

Wiktor (*biegnąc w objęcia Tadeusza*). Och! mój stryju kochany! Jakże się cieszę z takiego spotkania! (*ściskają się*).

Janek i Olesia. Pan Tadeusz Wiecki, jakże się rodzice ucieszą, gdy wróca.

Tadeusz (*z uśmiechem do Wiktora*). Więc zatrzymasz się?

Wiktor. Co każesz, stryju, to wszystko zrobię!

Tadeusz. I nie gniewasz się już na mnie?

Wiktor (*z uczuciem*). Stryju kochany, nie wstydz mnie więcej wymówkami... teraz dopiero pojmuję, jak byłem zły, niezdolny... (*zakrywa oczy*).

Tadeusz (*z dobrocią*). Uspokój się, niezdolnych ludzi nie lubią, ale uznających błąd swój kochają i szanują. (*Przyciska go do piersi i całuje*).

Wiktor. Stryju kochany! A wy przebaczenie (*do Janka i Olesi*). Przebacz i ty, Kasiu!

Kasia. My do tego panicza przyzwyczajone, to choć czasem zabolę serce, ale się nie gniewamy, tylko w cichości popłaczemy i basta! (*Janek z Wiktorem całują się*).

Tadeusz. Cóż teraz zrobimy?

Wiktor. Stryju kochany, powiedziałem już, że zjadłbym konia z podkowami.

Tadeusz. A zatem idźmy na podwieczorek.

(Wszyscy powtarzają: idźmy na podwieczorek! Otaczają radośnie Tadeusza, ten bierze Olesie pod rękę, za nim idzie Janek z Wiktorem, a w końcu Kasia, która przy samych drzwiach pociąga Wiktora za rękaw i mówi:) „Paniczu! ale na podwieczorek nie będzie konia z kopytami, tylko kapłon pieczony. Czy panicz się nie pogniewa?”.

Wiktor z Jankiem (śmiejąc się). Dobrze, dobrze! (wychodzą).

Kasia (odwracając się do publiczności). A co, proszę państwa, czy nie trafiła kosa na kamień?.. Gdyby na wszystkich podobnych Wiktorów, znaleźli się tacy panowie Tadeusze, ho! ho! wszystko byłoby inaczej! (kłania się).

Zasłona spada.

---



ZABAWA W POLU.

(Rysunek Franciszka Kostrzewskiego zamieszczony  
w „Przyjacielu Dzieci“ w roku 1871).



NIELADA ŚMIAŁEKI...

(Rysunek Franciszka Kostrzewskiego, zamieszczony  
w „Przyjacielu Dzieci“ w roku 1871).

TERESA JADWIGA.

---

## KAROL KNIAZIEWICZ.

---

Jakaś uroczystość miała się widocznie odbyć w Paryżu, gdyż na ulicach od rana było ludno i gwarno, a najludniej na placu, na którym wznosił się pałac Luksemburski, siedziba ówczesnego rządu, zwany dyrektoryatem.

Francya toczyła wojnę z Austryą, oczekiwano powrotu wojsk z ziemi włoskiej, za którą walczyli Francuzi. W walce tej wspierały ich dzielnie wojska polskie, zwane legionami.

W największej sali pałacu Luksemburskiego zebrali się w tym dniu wszyscy przedstawiciele rządu, by przyjąć godnie bohaterów.

Na wzniesieniu, suknem szkarłatnem przykrytem, zasiedli przedstawiciele dyrektoryatu,

1 KARL TERT

w ówczesnych strojach obcisłych jasnych, w pończochach po kolana, w pantoflach, w kapeluszach stosowanych z piórami.

Wśród zebrauych wyróżniał się jakiś mężczyzna, smutny, poważny, w czarnej czamarze i butach z cholewami. W rękę trzymał czapkę rogatywkę.

Pod ścianami sali ustawili się rzędem żołnierze francuscy: galeryę zasiedli widzowie: kobiety i mężczyźni. Na wszystkich twarzach malowało się wyczekiwanie, wszystkie oczy zwrócone były ku drzwiom rozwartym szeroko.

Wtem zn oknami na ulicy rozległy się wołania:

„Vive les braves Polonais!“ (Niech żyją waleczni Polacy!)

Mąż w czamarze porwał się z krzesła, czarne jego oczy ożywiły się, uleciał z nich smutek.

— Więc wrócili! — szepnął sam do siebie.

Wołania powtórzyły się kilkakrotnie, poczem w przyległej izbie czyjeś kroki słyszeć się dały.

— Czy to tylko oni? — szepnął znowu mąż w czamarze.

W tej samej chwili w drzwiach sali ukazało się kilku zbrojnych ludzi w granatowych mundurach, z czerwonymi wyłogami.

Był to Karol Kniaziewicz, wódz legii polskiej, który wracał z Włoch, gdzie razem z wojskami francuskimi walczył przeciw Niemcom, cie-





KAROL KNIAZIEWICZ.



miężycielom tej ziemi; Kniaziewiczza otaczali towarzysze rodacy.

Weszli śmiało, z radością w żrenicach, z dumą na czole.

W rękach nieśli zdobyte w bitwach sztandary...

Zatrzymawszy się przed wzniesieniem, na którem siedzieli przedstawiciele rządu, Karol Kniaziewicz z szacunkiem pochylił czoło, poczem przemówił głosem wzruszonym:

— Złamanych przeciwnymi losami przygarneła Francya gościnnie na swej ziemi, dając nie tylko przytułek, lecz i nadzieję jaśniejszej doli. Walcząc pod sztandarami francuskimi za sprawę uciśnionych ludów, staramy się zasłużyć na obiecaną nagrodę... Wracamy zwycięzcami z ziemi włoskiej, oswobodziliśmy ją z pod wiekowej przemocy Niemców, niesiemy zdobyte przez nas chorągwie przedstawicielom Rzeczypospolitej francuskiej.

— Niech żyją waleczni Polacy! — rozległy się na galeryi wołania.

Lecz minister wojny Botier podniósł wzrok w górę.

Zrozumieli go zebrani i umilkli natychmiast, on zaś zwrócił się następnie do Kniaziewiczza i odwiedział mu:

— Czyny Polaków dowodzą, że do utrzymania własnej niepodległości nie brak im męstwa,

iż zasługują na szacunek i uznanie... Dziękujemy wam z głębi duszy... Zaiste godni jesteście, abyśmy wam pomogli wskrzesić waszą ojczyznę!

I minister uścisnął dłoń Kniażewicza.

Wtem ów smutny mąż w czamarze zbliżył się do niego i roztworzył ramiona. Tym mężem był Tadeusz Kościuszko, który, posłyszawszy o walecznych czynach własnych braci, powrócił z Ameryki, gdzie od lat kilku mieszkał, aby pobłogosławić polskie legiony.

Głośnie łkanie rozległo się w sali.

Lecz Kniażewicz otarł niebawem łzy, uśmiechnął się do dawnego wodza wojsk polskich.

— Jenerale! na pamiątkę tej szczęśliwej chwili, bo szczęśliwą nazywam ją, odkąd się obaczyłem po tylu latach niewidzenia, przyjmij ode mnie dar niewielki, ale dla nas, Polaków, cenny, jaki z Rzymu przywożę.

To powiedziawszy, odpasał od boku szablę.

— Oto oręż Jana III, którym rozgromił Turków pod Chocimem i od Wiednia odegnał, w twoje waleczne ręce oddaję, jenerale!

I nowy uścisk złączył dłonie i serca dwóch rycerzy.

\*

\*

\*

Karol Kniażewicz urodził się za panowania Stanisława Poniatowskiego; król ten założył w Warszawie korpus kadetów. Synowie zamożnych ro-

dziców chętnie wstępowali do tej szkoły wojskowej.

Skoro Karol miał lat dziesięć, ojciec zapytał go pewnego razu:

— Czem chcesz być, synu?

— Rycerzem! Tylko rycerzem!

Oddano więc chłopca do korpusu kadetów.

W szkole tej Kniaziewicz poznał Juliana Ursyna Niemcewicza, późniejszego poetę, autora „Śpiewów historycznych“.

Ukończywszy nauki w szkole kadetów, Karol Kniaziewicz wstąpił do wojska i dosłużył się wkrótce stopnia generała.

W roku 1791 walczył dzielnie pod Maciejowicami i wraz z Tadeuszem Kościuszką, Julianem Niemcewiczem i innymi, dostał się do niewoli.

Siły polskie składały się z 7,000 ludzi i 20 armat, a nieprzyjaciela były trzy razy liczniejsze, więc nieprzyjaciel zwyciężył i Kościuszko oraz Kniaziewicz, a z nimi wielu innych, dostali się do niewoli, przewiezieni zostali do Petersburga, jako jeńcy, Kniaziewicz zaś do Kijowa.

Roku 1796, gdy w Rosyi cesarz Paweł wstąpił na tron, więźniom wrócił swobodę.

Wówczas Tadeusz Kościuszko i Niemcewicz pojechali do Ameryki, a Kniaziewicz wrócił do Francyi, gdzie wstąpił do tworzących się właśnie

legionów polskich i wziął udział w wielkiej wojnie, jaką Napoleon Bonaparte, główny wódz wojsk francuskich, prowadził z monarchami Europy.

Walczył najprzód na ziemi włoskiej, potem na ziemi niemieckiej, i przyczynił się do oswobodzenia Włoch. Wszędzie zaś odznaczał się nieustraszoną odwagą.

Pod Civita Castellana zmusił do ucieczki trzy razy liczniejszego nieprzyjaciela; pod Fordi, wdarszy się na wzgórze zajęte przez Austryaków, uciśzył ich działa, spalił im wszystkie zapasy prochu i rzucił wśród Niemców taki popłoch, że uciekli w największym nieładzie.

W nagrodę tytułu dzielnych czynów, został wysłany przez Championeta, generała francuskiego, ze zdobytymi sztandarami do Paryża.

Potem Kniaziewicz dowodził tak zwaną legią naddunajską w Niemczech, gdzie Francuzi i Polacy pobili znowu Austryaków.

Napoleon zawarł wtedy pokój w Luneville z pokonanymi, odebrał im Włochy, utworzył dwa nowe państwa na tym półwyspie, oddając je pod opiekę swoich braci, ale dla Polaków nie uczynił nic zgoła, a nawet postąpił z nimi okrutnie!

Nie chcąc, by Francya płaciła żółd bezczynnym teraz żołnierzom polskim, porozsyłał legie do państw, utworzonych na ziemi włoskiej.

Zrażony tym postępkiem Kniaziewicz powrócił do kraju, osiadł na Wołyniu, szablę zawiesił

i ziemię orał; lecz gdy dobiegły go wieści o kampanii roku 1812, rzucił ciche życie wiejskie i ruszył na wojnę.

Dawne męstwo odżyło w nim, znosił odważnie trudy marszów zimowych, rozpraszał spotkane wojska nieprzyjacielskie i torował drogę Francuzom wgląd obcego im zupełnie państwa.

Niejedno niebezpieczeństwo odwrócił on od armii francuskiej, a dokonany przez niego w trzech czworobokach odwrót do Woronowa, liczą do wybitniejszych dzieł sztuki wojennej.

Wyprawa 1812 roku, jak wiadomo, nie powiodła się Napoleonowi.

Napoleon zmuszony był cofnąć się. Odwrót był straszny, wśród ciężkiej zimy, bez zapasów żywności i ciepłej odzieży.

Choroby poczęły dziesiątkować wojsko, armia w powrocie z Moskwy do Berezyny, zmniejszyła się prawie o połowę.

Berezyna była pokryta lodem, lecz Napoleon nie ufał tej drodze i kazał mosty budować.

Wtem nieprzyjaciel ukazał się w dali. Przerażeni Francuzi skończyli pośpiesznie robotę i poczęli się cisnąć na most.

Odważniejsi jednak stawili czoło nieprzyjacielowi i pozostali na brzegu. Między nimi z bar dziej znanych Polaków byli: Zajączek, Dąbrowski i Kniaziewicz.

Tymczasem nadciągnęły obce wojska, nagle

z hukiem armat, ze świstem kul i jękiem rannych mieszał się jakiś łomot przeraźliwy i ogłuszający, a wraz z nim z kilkuset ust wybiegły krzyki trwogi.

To łódź załamał się pod wojskiem przechodzącym przez rzekę.

Wypadek ten ubezwładnił niejedno waleczne ramię, ten i ów zdrętwiał ze zgrozy; skorzystał z tego nieprzyjaciół, natarł silniej i zaczął brać przewagę nad legionami.

Lecz Kniaziewicz nie traci ani na chwilę przytomności, walczy dalej śmiało, coraz dzielniej uderza na nieprzyjaciela...

Wtem pada rzucona z armaty nieprzyjacielskiej kula działowa, z hukiem rozlatuje się na cząstki... Jeden pocisk przeszywa dłoń Dąbrowskiego, drugi nogę Kniaziewiczowi... obaj muszą opuścić pole bojowe.

Z garstką wojska powrócił Napoleon z Rosji do Francji...

Kniaziewicz kilka miesięcy przeleżał w lazarecie, poczem udał się do Dreżna. Gdy przyszedł wreszcie zupełnie do zdrowia, cesarz Francuzów, wielki Bonaparte, już był ostatecznie pokonany przez monarchów Europy i uwięziony na wyspie Ś-tej Heleny.

Kniaziewicz przeniósł się wówczas do Paryża i tam umarł roku 1841.

Francuzi uczcili walecznego wodza legionów wspaniałym pogrzebem. Ciało jego złożono na cmentarzu Montmorancy, gdzie spoczywa wielu zacnych i sławnych Polaków: Julian Ursyn Niemcewicz, Klementyna Hofmanowa i inni.

**Teresa Jadwiga.**

---





### STROJE Z XIII WIEKU.

(Ilustracya „Przyjaciela Dzieci“ z r. 1877, przedstawia-  
jąca rycerza Gozdawitę i wieśniaka, ze zbiorów artysty-  
cznych Juliusza Kossaka).

ARTUR OPPMAN.

---

## B O H A T E R.

---

Jan Leon Hipolit Koziętulski, urodził się w Skierniewicach, dnia 8 lipca 1781 r.

Ród Koziętulskich, starodawny i w Rzeczypospolitej zasłużony, pisał się z Koziętul, w Czerskim położonych, a pieczętował Habdankiem.

Po ukończeniu nauk w korpusie kadetów, Koziętulski zaciągnął się w szeregi.

Była to chwila właśnie, kiedy bitwa pod Jeną zgruchotała potężne dotychczas Prusy; Napoleon oderwał od nich prowincye polskie; Wybicki i Dąbrowski ogłosili proklamacye do narodu (3 listopada 1806 roku), a w ciągu dwóch miesięcy niespełna 30,000 Polaków stanęło pod bronią.

W liczbie tej znajdował się Kozietulski; został on mianowany podkomendantem gwardyi honorowej; oddział ów odznaczył się kolejno pod Nasielskiem, pod Pułtuskim i pod Eylau, a Kozietulski, walczący nieustraszenie w nagrodę zasług mianowany został szefem szwadronu w pułku lekkokonnym szwoleżerów.

Pułk ten, utworzony przez Wincentego Krasieńskiego, ojca Zygmunta, był najpiękniejszym i najcelniejszym bodaj ze wszystkich pułków wojsk Księstwa Warszawskiego. Służył w nim kwiat młodzieży polskiej.

Część wojsk polskich na rozkaz Napoleona wyruszyła do Hiszpanii, pułk Krasieńskiego należał do nich. Napoleon szedł do Madrytu, ale chcąc zająć stolicę Hiszpanii, potrzeba było przejść wprzód skaliste wąwozy Sommo-Sierra, obsadzone działami i bronione przez 13,000 Hiszpanów, walczących z energią rozpacz.

Szedł pułk za pułkiem piechoty francuskiej i wracał odparty, zdziesiątkowany. Wodzowie napoleońscy wątpili w możliwość zdobycia wąwozu; wtedy cesarz przywołał Berthiera i wydał mu rozkaz, aby na służbie będący szwadron polskich szwoleżerów ruszył do ataku.

Aczkolwiek Napoleon nie znosił żadnych uwag, Berthier ośmielił się zrobić uwagę, że zdobycie tak silnej pozycji jest niepodobieństwem i że szwadron pójdzie na pewną zgubę.



HIPOLIT KOZIETULSKI.

— Zostaw to Polakom i rób swoje! — odpowiedział cesarz.

Wtedy marszałek pojechał ku szwadronowi szwoleżerów:

— Cesarz powierza wam zdobycie tego wawozu i pewny jest, że go weźmiecie! — zawołał.

Kozietulski, usłyszawszy ten rozkaz, zakomenderował:

— Formuj się w czwórki i marsz! marsz!

Szwadron jednak nie rozwinął się i w polowie, gdy zasypał go grad kartaczy, przerzedzając szeregi; poległ oficer Rudowski.

Kozietulski wówczas zakomenderował powtórnie, i szwoleżerzy ruszyli, jak burza.

Szarża była tak gwałtowna, że Hiszpanie zaledwie jeden raz zdążyli dać ognia. Pod Kozietulskim zabito konia, ale już dwanaście armat było zdobytych. Dosiadł nieustraszony szef drugiego rumaka i dopiero silna kontuzya w lewą nogę zmusiła go, że zdał dowództwo Dziewanowskiemu.

Wawóz Sommo - Sierra został zdobyty, ale zwycięstwo drogo kosztowało Polaków. Padł Dziewanowski, zginęli Rowiecki i Krzyżanowski. Niegolewski otrzymał 32 rany, z których się jednak wyleczył. Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu 37-miu jedynie.

Plaszcz Kozietulskiego podziurawiony był, jak rzeszoto; plaszcz ów, darowany później księż-

nie generałowej ziem podolskich, złożony został w Sybilli w Puławach.

Napoleon szarżę szwoleżerów nazwał atakiem tak świetnym, jakiego dotąd nigdy nie było. Kozietułski zaraz na placu boju otrzymał z rąk cesarza krzyż kawalerski Legji Honorowej, w trzy lata później, nadał mu Napoleon tytuł barona cesarstwa francuskiego, z przydaniem do rodzinnego herbu wieży Kastylskiej, miecza i chorągwi.

Kozietułski z równem zawsze męstwem walczył następnie pod Alcada, Gwadalachar i Saint Cruz. Potem, gdy cesarz wojsko swoje przerzucił do Niemiec, Kozietułski w bitwie pod Wagram raniony został w głowę, za co otrzymał krzyż oficerski legii, a książe Józef Poniatowski, minister wojny Księstwa Warszawskiego, posłał mu krzyż kawalerski polski orderu wojskowego: *Virtuti Militari*.

W słynnej kampanii 1812 roku Kozietułski dokonywał cudów waleczności. Pod Małym Jarosławcem mianowany został pułkownikiem majorem, otrzymał on wtedy dwie rany. Przy Napoleonie, jak całe zresztą wojsko polskie, wytrwał do końca.

Po wyleczeniu się z ran i po zmianie stosunków w kraju, Kozietułski otrzymał w 1815 r. w dowództwo 3-go pułku ułanów. Nadwątlone jednak zdrowie, nie pozwoliło mu pełnić długo służby.



W 1821 roku, dnia 3 lutego, zakończył życie pełne chwały, licząc zaledwie 32 lata wieku.

Umarł w Warszawie, na Lesznie, w domu oznaczonym dziś Nr. 10.

Zwłoki jego przewiezione zostały do grobu rodzinnego w Bielsku, pod Grójcem.

---



MICHAŁ SYNORADZKI.

---

## PRZED WIECEM.

---

Wychylił starzec duszkiem róg miodu, inni koniecznie za jego przykładem poszli, wykrzykując:

— Przewdrowie twoje, Wizymirze! niech ci się wszystkie wiedzie po myśli! Hej, a hej!

— Widun! a weźmij jeno gęśl, sław Lecha i potomność jego, jako obyczaj nasz każe!... — zwrócił się Brózda do gęślarza, siedzącego na miejscu pociesznem.

— Sław Lecha, sław; twoja to powinność, Wiedunie! — poparli Brózdę inni kmiecie.

Na to wezwanie Widun, dziad wiekowy, na poły ślepy, z długą po pas, mlecznej białości brodą, z twarzą głębokimi zmarszczkami zoraną, ujął

geśl, przez chwilę trącał jej struny bezładnie, wreszcie mówić zaczął głosem drżącym, śpiewnie, ożywiając się w miarę nasuwających się do głowy myśli:

— „W troskach to życie płynie, potem je zrasza trud: pieśń daje nam otuchę, pieśń iście życia miód. Ona pociechę zsyła, gdy w sercu smutków pleśń, nadzieje nam i radość daje serdeczna pieśń. Czy w radzie, czy w zwadzie, czy w boju, czy w pokoju, pieśń zawsze mile brzmi; cierpienia słodko koi i męstwem w boju zbroi, ozłaca ciężkie dni... Pieśń uczy i pieśń bawi, wspomnieniem ojców sławi; uczy, jako ich czcić. I smuje nam przykłady, i zdrowe daje rady, jak w poczciwości żyć... Dziś mocą jej Lech wskrzesnie, jakoby żył w wieśnie, tak stanie pośród nas; bo w pieśni nuć jest wielka, bo pieśń to wskrzesicielka, słucha jej martwy głaz...”

Zmienił akord Widun i donośniej począł:

— Z daleka z pod Chorbów podniebnych, Lech przyszedł z drużyną waleczną, Lech wkroczył w krainę polańską, a wieszczy go rozkaz prowadził. Na wzgórzu, nad srebrną Lednicą, tam kędy orłowie mieszkaly, Lech kneżno tam swoje zbudował, z drużyną w niem osiadł stołecznie... A kneżno to jego dziś słynie szeroko w polńskiej krainie; nazwali je Gneźnem Polanie, bo gniazdem się stało poczciwem, skąd dobro wsze-

lacie wyrasta, bo błogość ma z niego kraina, tarcz w wojnie, a radę w spokoju...

Gdy zwada wśród knieci się zdarzy, do Lecha dążyli Polanie, on sądził zwaśnionych i godził, jak ojciec ich sądził roztropie. Gdy Niemiec drapieżny kraj skrzywdził, do niego dążyli Polanie — on wtedy miecz ostry ujmował i gromił drapieżce zwyciężko. I nastał u Polan czas prawdy, spokoju, czas nastał bezpieczny, a wszystko to z Gniezna spływało, a władał Lech jeden. I mile polanom dni biegły, płynęły w spokoju i szczęście; miłował ich jako rodzonych, zaś oni nie byli niewdzięczni... Aliści wszystkiemu granica, więc on ma również i żywot... Nie stało dobrego władarza... Powołał go Mija do siebie... Omroczenie dziś patrzym przed siebie, sieroctwa cień sercom dolega, pytamy nieśmiało, jęklawie: kto Lecha władarza zastąpi!... Pytamy jęklawie i trwożnie, bo prawdzie potrzeba opieki, zagrożdom potrzeba obrony, trwałego potrzeba puklerza. Więc sławiąc dziś Lecha pocześnie, dziś sławiąc dobrego władarza, zwracamy się z prośbą do niego. Poratuj nas, ojczy, daj radę!... Daj radę nam znakiem z za grobu, kogoby na knezia powołać? Kto osiąść ma w Gnieźnie na górze, by objąć po tobie dziedzictwo? My woli twej będziemy posłuszni, będziemy spełniali ją radzi i będziemy wciąż sławić serdecznie twą pamięć, nasz dobry władarzul..."

Umilkł Widun, a kmiecie czas jakiś w zadumie poważnej zostawali, bo gęślarz obowiązek im przypomniał. Wreszcie Brózda ozwał się pierwszy:

— Cześć i sława pamięci Lecha, dobrego władarza, a tobie Widunie, słowo pocziwe się należy, iż się napomknął, co czynić mamy.

— Słusznie napomknął Widun — rzekł Skowron — obejrzyć się za następcą po Lechu trzeba. Bezpieczeństwo, błogość krainy tego wymaga.

— Najlepiej nie odkładać — dodał Pazucha. — Sprawa to nagła. Jesteśmy tu kmiecie wszyscy, więc podążyć na Żmijowe uroczysko i tam wiec złożyć.

— Zgodą! Dobrze mówi Pazucha! Jutro zaraz wiec na Żmijowym uroczysku złożyć! — zakrzyknęli inni jednomyślnie.

Tak postanowiwszy, nie przedłużali nazbyt uczt.

Wiec miał się zacząć wcześniej, przeto trzeba było spoczynku zażyć, chociażby do północks, żeby o porze wyznaczonej na Żmijowe uroczysko zdążyć. Mało — wiele jeszcze pogadawszy, przed mrokiem opuścili kmiecie cmentarzysko, udając na Lechową górę, kędy im Wizymierz przygotował wygodne na świeżem sianie posłanie.

---



NARADA LESZKA BIAŁEGO Z KONRADEM MAZOWIECKIM  
W SPRAWIE PODZIAŁU ZIEM DZIEDZICZNYCH.

(Rysunek Wojciecha Gersona do „Dziejów Mazowsza“  
Leona Rogalskiego, drukowanych w „Przyjacielu Dzieci“  
w roku 1865).

WIKTOR GOMULICKI.

---

## D Z W O N E K.

Ze „Wspomnień niebieskiego mundurka“.

---

Baczność!.. Uwaga!..

W kilka chwil później, długim półciemnym korytarzem, nakształt długiej niebieskiej, o srebrnych centkach liszki, posuwa się cała szkoła, szeszcząc rytmicznie stopami.

Wpłynęła bocznem wejściem do kościoła, i skupiła się w prawidłowych czworobokach tuż przy prezbiteryum, dla wysłuchania mszy studenckiej, odprawianej przy wielkim ołtarzu, codziennie z wyjątkiem miesięcy zimowych przed lekcjami.

Pod wysokim sklepieniem, w zagłębieniach ołtarzy, na chórze, zawsze pełnym mroku, czują

się jeszcze resztki nocy i snu. Nowozacieżnym pierwszoklasistom, niewyzwolonym całkowicie z dziecinnych, domowych przyzwyczajzeń, kleją się jeszcze oczy. Ale zabłysnęły w ołtarzu światła, ozwał się miły głos księdza prefekta: „Introibo ad altarem Dei“, trzecio-klasista w białej komeżce służący do mszy, uderzył mocno w dzwonek, zagrzmiął z góry akord organowy, noc i sen pierzchają pokonane...

W poważnem milczeniu szli uczniowie na mszę; powracają z gwarem głośnym, który głucho tętni pod niskiem sklepieniem korytarza. Szybko zajęli swe miejsca, rozkładają hałaśliwie książki i kajety. Każda klasa zmienia się na chwilę w ul brzęczący, potem wchodzą nauczyciele,—wszystko zapada w ciszę. Rozpoczyna się pierwsza lekcya „od ósmej do dziewiątej“.

Dzwonek spełnił co do niego należało. Kilku maruderów pozostało za drzwiami, ale przeszło dwunastu chłopców kłęczących przykładnie w ławkach, powtarzając zmieszany chórem: Przyjdź, Duchu Świąty, napelnij serca nasze...”

Zaraz potem na dole i na górze z poza drzwi zamkniętych, dochodzą stłumione głosy nauczycieli, odczytujących listę.

W jednym miejscu głos mocniejszy od innych wywołuje donośnie:

— Bagiński, Batagowski, Bellon, Ciaputo-



wiecz, Dąbrowski, Dembowski, Damianowicz, Olżanowski, Gadomski, Gomulicki!...

Dzwonek zrobił swoje, teraz może odpocząć do godziny drugiej, znów będzie wzywał niesforną gromadkę na dwie lekcye poobiednie. Odpoczynek dłuższy prócz świąt, galówek i seryi, miewa jeszcze we środy i soboty.

W te dni dzieci już nie przychodzą po obiedzie do szkoły.

Pocciwy, czujny, niezmordowany dzwonek! Ileż pokoleń budzi wytrwale z gnuśnego lenistwa do modlitwy i nauki, dwóch największych skarbów życia, bez których nie można ani szczęścia zdobyć, ani zostać człowiekiem w pełnem tego słowa znaczeniu.

Mieszka ten dzwonek wysoko, na jednej z wież kościoła, dziś Benedyktyńskiego, a który wcześniej, przez dwa stulecia przeszło, służył Jezuitom. Kto ma dobre oko, dojrzeć go może w dzień jasny przez jedno z wąziutkich do strzelnic podobnych okienek.

Jest wysmukły, jak kleryk w obcisłej sućannie, a od starości już nie zielony, ale czarny. Przypomina kruka dożywającego dni swoich w niedostępnym gnieździe.

Kto wie, czy nie ten sam dzwonek, przed dwustu kilkudziesięciu laty budził i do rzeczywistości przywoływał pewnego, skłonnego do marzeń, zawsze zamyślonego, młodzieńczyka, owego

małego z ostrym wyrazistym profilem „Matyjaszka“, z którego wyrosnąć miał głośny na całą Europę: Mateusz Skarbiewski!

Kto wie, czy rzeźki i skoczny rytm tego dzwonka, nie rozweselał ongi uszów księdza Piotra Skargi i księdza Jakóba Wynka, którzy w tych murach długie chwile przemodlili i przemyśleli?...

To pewna, że widuje się niekiedy starców drżących, którym się „na drugie stulecie zabiera“, jak dzwonek ów usłyszawszy stają w miejscu, prostują się i szyję wyciągają, niby wierzchowiec kawaleryjski na głos trąbki wojskowej. Potem uśmiech rozszerza ich szczęki bezzębne, w przygasłych oczach żywy płomień błyska. Machając rękoma, niby ptaki ciężkie, silnym rozmachem skrzydeł pomagające sobie do lotu, próbują biedz razem z uczniami w stronę gmachu szkolnego. Nogi im się plątały, przystają zdyszani.

— Nie zdążymy — szeplenią. — Ksiądz rektor znów nam złą notę postawi.

I pomarszczone ich twarze osmucają się tym samym wyrazem zmartwienia, jaki miały przed osiemdziesięciu kilku laty w podobnym wypadku.

Nie tylko ucząca się dziatwa, ale razem z nią jej ojcowie, dziadkowie i pradziadkowie, słuchają dzwonka Benedyktyńskiego jak starego, dobrego przyjaciela i ochmistrza.

Kto urodził się w miasteczku i kto w niem

umiera, temu jest ten dzwonek nieodstępny przez całe życie towarzyszem.

Więc być może nawet, że gdy w ciche, błękitne poranki, głos dzwonka dopływa aż do krańców miasta, gdzie na zielonem wzgórzu po nad Narwią szarzeją, bieleją i złoceniami migocą krzyże i kamienie nagrobne, dreszcz miły przenika prochy praojców, co tam od niepamiętnych czasów snem nieprzespanym zasypiają.

Na cmentarzu staje się prawie wesoło, gdy pomiędzy groby wpada w podskokach rzeźkie jakby roztańczone:

— Dendeli!... dendeli!... dendeli!...

---

ADOLF DYGASIŃSKI.

---

## MISTRZ TWARDOWSKI.

B A Ś Ń.

---

Spodobała się była Twardowskiemu jedna gładka panna w Krakowie, uderzył do niej w konkury, oświadczył się, zalecał. Dziewczyna się drożyła w oddaniu ręki, stawiała różne warunki, przeszkody. Idą, naprzykład, brzegiem Wisły, a ta mówi:

— Chciałabym płynąć bez czółna i wiosła, wstecz wody.

— Owszem, mościa panno! — zawołał Twardowski, — i natychmiast żądaniu jej zadosyć uczynił.

Innym razem znowu rozwodziła się nad tem, że ptaki są szczęśliwe, ponieważ mogą bujać wy-

soko w powietrzu. Jeszcze nie skończyła mówić, a już razem z narzeczonym wzniosła się w górę i Kraków mieli po nogami.

Po długich zalecankach zjednał ją sobie narzeczcie i pojął w małżeństwo. Żałował tego jednak, gdyż swarliwa była kobieta, dokuczała mu językiem i zawsze chciała mieć nad nim górę. Opowiadano nawet, że dyabeł najbardziej bał się tego, żeby mu mistrz nie polecił kiedy pełnić służby przy kłótlivej babie.

Kazała ona sobie zbudować dom gliniany na rynku krakowskim i tam sprzedawała garnki, misy. Mąż chciał dać jej naukę, że gniewy niewieście są bezowocne; przebrał się więc za wielkiego pana i z licznym poczem sług niepoznanym, przejeżdżał obok owego kramu pani Twardowskiej.

Czeladź pańska naprzód już wiedziała, co ma czynić; na dany znak wpadała rażno między garnki i pokotem rozbijała je w drobne skorupki.

Rozwścieczona niewiasta puszczała wtedy w ruch język i rynek krakowski był pełen jej przekleństw.

Twardowski, rozparty we wspaniałej kolasie, od śmiechu brał się za boki, rad, że i on dokuczył żonie.

Dobra fantazyja nigdy widać nie opuszczała tego szlachcica: ani dyabeł, ani żona jęcza, nie popsuli mu krotochwilnego animuszu.

W rozmaitych sprawach musiał on nieraz odbywać podróże. Otóż wypadło mu raz jechać do Bydgoszczy, gdzie go już była poprzedziła sława. Co tylko żyło w tem mieście, spieszyło do gospody, w której przejezdny mistrz zamieszkał. Jedni szli tam przez ciekawość, inni z prośbą o poradę co do zdrowia, a nawet — złego stanu swej chudoby. Między nimi znalazł się szlachcic, który zmarnował znaczny majątek, odziedziczony po przodkach, nie miał już żyć z czego i błagał Twardowskiego o radę, co ma począć, aby odzyskać fortunę; on mu zaś rzecze:

Wszystko zawisło od tego, czy waszmość, panie bracie, jesteś cierpliwy.

— Mocny, Boże! — powiada ów chudeusz — a czegoż ja też nie podjąłbym się zrobić, aby tylko znowu zostać tak bogatym, jak dawniej.

— Skoro tak mówisz, wyszukaj-że sobie jakiej zacisznej chatki na ustroniu, zamieszkał tam samotny, a miej przy sobie dziewięć sztuk groszaków, usiądź i licz groszaki te bez ustanku: od jednego do dziewięciu i naopak, od dziewięciu do jednego. Licz przez całą noc, aż do dnia białego! Pamiętaj tylko, że najmniejsza omyłka w rachubie popsuje ci całą robotę! Żadne strachy, żadne przeszkody nie powinny przerwać ci liczenia. Jeżeli wszystko, coć zalecam, wypełnisz waszmość rzetelnie i wytrwasz tak do rana, sta-

niesz się bogaczem większym, niż byłeś kiedykolwiek.

Szlachcic skrupulatnie spełnił zalecenia mistrza. Wynałazł samotną chatkę, zasiadł w niej i liczył a liczył groszaki. Zaczynało właśnie świtać, kiedy ów rachmistrz spostrzegł naraz przed sobą pana Twardowskiego, a właściwie — jak twierdził — szatana, który postać własnego mistrza wziął na siebie.

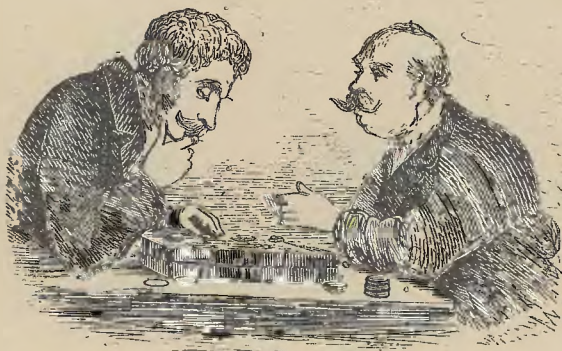
— Jakże ci idzie? — zapytuje przybyły.

I z temi słowy zniknął rzekomy Twardowski.

Widać tej tylko przeszkody było potrzeba, aby się szlachcic w liczeniu omylił. Biedak zapomniał, na czem się w rachunku zatrzymał i nie mógł dalej liczyć. Przepadły jego nadzieje, był już ubogim do śmierci. Rozgoryczony tym zawodem wstąpił podobno do klasztoru i w kapturze mniszym dokonał żywota.

---





### GRA W ARCABY.

(Rysunek Juljusza Kossaka, zamieszczony w „Przyjacielu Dzieci” w roku 1865.

WALERY PRZYBOROWSKI.

---

## O bajkach i satyrach Ignacego Krasickiego.

---

W bajkach Krasickiego mieści się niepospolita mądrość, doświadczenie, znajomość świata i natury ludzkiej, dowcip, szyderstwo, ból wreszcie tajemny, a przecież głęboki, ubrany w formę zwięzłą, dosadną, wytworną.

Gdyby Krasicki, on głośny, nic więcej nie napisał prócz bajek swoich, jużby nieśmiertelność zyskał w narodzie, jak ów sławny francuski bajkopisarz Lafontaine.

Drugą ważną pracą, którą nieobliczony wpływ wywarła na społecznych Księciu Biskupowi, były satyry.

W satyrze zasmucony duch poety, zdrożnościami, zepsuciem, wadami i przesadami ogółu,

chłoszcze ten ogół razami szyderstwa, śmiechu, w którym czuć łzę drgającą, ból nieopisany.

Satyra mieści w sobie olbrzymią siłę i potęgę, ale trzeba do tego niepospolitego talentu. Krasicki miał właśnie w sobie taki talent. Oto jak on sam określa istotę satyry:

Im wyżej, tém widoczniej, chwale lub naganie  
Podpadają królowie, najjaśniejszy panie.  
Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka  
Wielki urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka.

Posłuchajcie teraz satyry pod tytułem:  
„Świat zepsuty“:

Wolno szaleć młodzieży, wolno starym zwodzić,  
Wolno się na czas żenić, na czas się rozwodzić!  
Godzi się kraść ojczyznę, łatwą i powolną,  
A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?  
Niech się miota złość na cię i chytrość bezczelna,  
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna!

Zakończenie tej satyry wznosi się do wyżyn szczytności, z takim natchnieniem, straszną wróżbą grzmi poeta:

. . . . . Ten, co niegdyś sływał,  
Rzym cnotliwy zwyciężył, Rzym występny zginął.  
Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły,  
Zbrodnie, klęsk poprzedniki i upadków posły,

Te go w jarzmo wprawiły— skoro w cnocie sty-  
[gnał,  
Upadł i już się więcej odtąd nie podźwignął.

Przytoczę jeszcze parę ustępów z głośnej  
satyry p. t. „Pijaństwo“.

„Zkąd idziesz? Ledwo chodzę. Słabyś? I jak jeszcze,  
Wszak wiesz, że ja się nigdy zbytecznie nie pie-  
[szczę,

Ale mi zbyt dokucza ból głowy okrutny.

— Pewnieś wczoraj był wesół, dlategoś dziś smutny  
Przejdzie ból—powiedzże mi, proszę, jak to było?

Po smacznym, mówię, kąsku i wodę pić miło.

O! nie miło, mój bracie, bogdaj z tem przysło-  
[wiem,

Przepadł, co go wymyślił! jak było, opowiem:

— Upilem się onegdaj, dla imienin żony,

Nie żał mi tego było. Dzień ten obchodzony,

Musiał być uroczyście. Dobrego sąsiada

Nie źle czasem podpoić, jejmość była rada,

Wina mieliśmy dosyć, a że dobrze było,

Cieszyliśmy się pięknie i nie źle się piło.

Trwała uczta do świtu. W południe się budzę,

Cięży głowa jak ołów, krztuszę się i nudzę.

Jejmość radzi herbatę, lecz to trunek mdlący,

Jakoż koło apteczki przeszedłem niechcący,

Anyżek mnie zaleciał—trochę nie zawadzi,

Napilem się więc trochę, może mi poradzi.

Nudno przecież—ja znowu—już mi raźniej było,  
Wtem dwóch z ucztę wczorajszej kompanów przy-  
[było,  
Jakże nie poczęstować, gdy kto w dom przychodzi,  
Jak częstować a nie pić i to się nie godzi.

Więc ja znowu do wódki...

Po wódce przekąska, potem wino, butelki  
nieznacznie wypróżniają się, z początku do picia  
trzeba prosić, namawiać potem:

Pan Jędrzej mi przymówił. Słyszysz waść, mi  
[rzecze:

— Jak to waść? nauczą cię rozumu, człowiecze!  
On do mnie, ja do niego, zwiemy się zajadli,  
Trzyma Wojciech, na wrzaski służący przypadli.  
Nie wiem, jak tam skończyli zwadę wielką,  
Ale to wiem i czuję, że wziął w łeb kutelką.

Po tem nieszczęśliwem wydarzeniu opowia-  
dający zaczyna piorunować na pijaństwo i wyka-  
zuje jego całą nikczemność, wszystkie szkody, ja-  
kie ludziom przynosi, a wreszcie opisuje wymo-  
wnie korzyści z umiarkowania i wstrzemięźliwo-  
ści. Wreszcie powiada:

Te są wstrzemięźliwości, zaszczyty, pobudki  
Te są, bądź zdrów?

— Gdzie idziesz?

— Napiję się wódki.

Wszystkie satyry swoje kończy Krasicki „Odwołaniem“, które w gruncie rzeczy jest najbardziej może gryzącą satyrą. Oto początek i koniec:

„Na co pisać satyry! choć się złe zbyt wzniosło,  
Przestańmy. Świat poprawić, zuchwałe rzemiosło.  
Na złe szczerłość wychodzi, prawda w oczy kole,  
Więc już łąać przestanę, a pochlebiać wolę“.

A koniec:

„Lecz nie dosyć przeprosić, nie dosyć odwołać,  
Niechaj pozna świat cały, zdaleka i zblizka.  
Kiedym ganił, tailem ganionych nazwiska.  
Chwałę, niech będą jawni.. musicie!.. nie chcecie!..  
Zacny wstydzie! osiadłeś na tych czołach przecie.  
Cóż czynić? nieznajomych czy w dwójnasób sławić?  
Mówić? czyli umilknąć? taić? czy objawić?  
Milczą—szacowna skromność zdoła wielkie dusze,  
Niechże sądzi potomność, a ja pióro kruszę“.

---



Bolesław Pobożny dopomaga mieszkańcom Płocka bardzo zniszczonego przez kilkakrotne srogie najazdy Litwinów i Rusinów, którzy po zgonie Ziemowita I-go przekroczyli granice Polski. Ziemia płocka była tak bardzo zniszczona, że aż Bolesław Pobożny, książę kaliski, pośpiesza jej mieszkańcom z pomocą. W dzień S-go Michała w r. 1262 mieszkańcy Płocka z radością przyjmowali księcia. (Ilustracya „Przyjaciela Dzieci“ z roku 1868, według rysunku Wojciecha Gersona, do „Historyi Mazowsza“ Leona Rogalskiego).



WŁADYSŁAW SKŁODOWSKI

---

## O LODOWCACH.

---

### I.

Podróżny zwiedzający po raz pierwszy wielkie doliny Sabaudyi i Szwajcaryi, u stóp Alp położone, spostrzega z zadziwieniem wśród wspaniałej roślinności, wśród uprawnych pól, lub sosnowych lasów, ogromne masy lodów nagromadzonych niby rzeki zmarzłe, spływające ku nizinom, a opierające się działaniu najgorętszego lata.

Te zaczarowane rzeki są to lodowce.

Zastanówmy się chwilę nad sposobem tworzenia się tych pól lodowych i przeznaczeniem ich w gospodarstwie przyrody.

Ktoby mógł za pomocą balonu wznieść się

po nad łańcuch Alp Sabaudzkich i Szwajcarskich, ujrzałby wszystkie wierzchołki śniegiem pokryte. Poniżej zaś dostrzegłby wąskie doliny, ku którym spuszcza się białe wstęgi lodu.

Gdzie tylko wieczne śniegi zaległy wierzchołki gór, wszędzie wstęgi lodowców spuszcza się ku nizinom.

Warstwy spadających śniegów doszłyby na koniec do niesłychanej wysokości i niżej położone ziemie żadnego nie miałyby z nich pożytku, gdyby nie lodowce, które mimo swej pozornej nieruchomości, ciągłym, wolnym ruchem, osuwają się ku dolinom.

Tam znajdują łagodną temperaturę i nieznaśnie topniejąc, tworzą mnóstwo strumyków i źródeł, z których następnie powstają rzeki.

Nadto woda rzek i strumieni, zamieniając się w parę pod wpływem ciepła słonecznego, tworzy obłoki, które później w postaci śniegu spadają na te same gór wierzchołki i lodowacieją na nowo, tworząc tym sposobem cudowne koło działań naturalnych bez początku i końca, jak Bóg, który je począł w swej mądrości.

## II.

Lodowcami pierwszego rzędu, czyli morzami lodu, nazywają te, które spuszcza się po bokach uajwyższych gór, aż w głąb dolin, jak np. Morze lodu na Mont Blanc. Lodowce drugiego

rzędu nie spuszcza ją się w głąb dolin, zostają zawieszane na bokach gór.

W samej Szwajcaryi liczą więcej niż 600 lodowców, z których 670 na pochyłości Renu, 137 na pochyłości Rodanu, reszta zaś nad morzem Adryatykiem.

Co się tyczy masy lodowca, to składa się ona z nielicznego mnóstwa ułamków i brył lodu, między którymi strumyki roztopionej wody swobodnie przeciekać mogą. Dlatego to lodowce z taką giętkością przybierają wszystkie kształty gruntów, po których się posuwają.

Ruch ten nie jest jednakże jednostajny we wszystkich częściach lodowca.

Masy stanowiące środek lodowca, jako znacznie grubsze i cięższe, posuwają się daleko prędzej, niż części leżące po bokach. Przyspieszenie ruchu zależy od stopnia pochyłości lodowca i od ciężkości posuwających się mas.

Im większy ciężar, tem znaczniejsze osuwanie się.

Każdy lodowiec ma punkt, w którym się jego osuwanie zatrzymuje, a mianowicie tam, gdzie w miarę przybywających z góry nowych mas lodu, spodnie warstwy topnieją i nikną.

### III.

Przy opisaniu lodowców nie podobna pominąć charakterystycznej ich cechy, jaką są, tak

zwane „moreny“. Tym wyrazem górale alpejscy oznaczają długie smugi kamieni, ciągnące się wzdłuż lodowców i przez nich coraz dalej popychane lub uniesione.

Są to ułamki z granitowych wierzchołków Alp, kruszących się pod wpływem śloty i wichrów, i upadających na powierzchnię lodowca. Gdy te ułamki padają jednocześnie po obu stronach jaru, który jest łóżyskiem zlodowaciałej rzeki, to tworzy dwa długie pasy równoległe, podobne do śladów kół po drodze.

Takiego rodzaju jest bardzo piękna Morena na lodowcu Zermatt.

Wskutek swego ogromnego ciężaru i niestającego ruchu, lodowce zostawiają znaczne ślady swego przejścia na gruncie, po którym przesuwają się. Grunt ten okazuje się zupełnie wygładzonym, a kamienie na nim są zaokrąglone i wypolerowane w zadziwiający sposób.

Przytem twarde i ostre kamienie, które się wraz z piaskiem i błotem posuwają na dnie lodowca, ryją głębokie ślady, niby skiby nawet w najtwardszym gruncie.

Kamyki zaś mniejsze i większe, zostawione przez lodowce, są utarte i porysowane w sposób odrębny.

Widzimy więc, że łatwo jest poznać miejsce, przez które, choćby przed tysiącami lat, przesunęło się morze lodowe.

Z badań współczesnych uczonych okazało się nietylko, że lodowce Szwajcaryi zajmowały przed wiekami daleko większą przestrzeń niż dawniej, ale że cała północna część Europy, aż do jej środka, okryta była niegdyś płaszczem lodów i śniegów.

---

HENRYK WERNIC.

---

## MODLITWA KAZIA.

---

Kiedy Wawrzyńcowa postradała męża, jedyny jej synek Kazio był taki mały, że nie pojmował jeszcze nieszczęścia, które go spotkało.

Kazio nikogo w świecie tak nie kochał, jak swoją mateczkę, a chociaż widział, że inni chłopcy mieli ładniejsze sukienki, niż on, jadali smaczniejsze obiady, nie zazdrościł im wcale. Skromny obiadek smakował mu wybornie, śmiał się tak serdecznie przy żurku, który dostawał na śniadanie, jak inni chłopcy przy słodkiej herbacie lub kawie.

Wierzył, że nikt nie miał tak ładnej i dobrej matki, jak on.

Matka nieraz o szarej godzinie przywoływa-

ła go do siebie, brała na kolana i opowiadała mu o Bogu, Jego wszechmocy i świecie, wtedy składał ręce do modlitwy i przyrzekał, że zawsze będzie pracowitym i dobrym.

— Gdybym kiedy rozłączyć się z tobą miała, mój Kaziu, — mówiła raz matka — gdybyś sam jeden pozostał na świecie w pośród obcych, nieznanych ci ludzi, bądź grzeczny i dobry, i zawsze pamiętaj o tem, czego cię uczyłam.

Kazio przyrzekł mamie poważnie, że zawsze będzie tak postępował, jak mama sobie życzy; rzeczywiście jednak nie przypuszczał nawet, aby miał kiedy rozłączyć się z matką.

Matka pracowała bez wypoczynku, wytrwale, od rana do wieczora, nie cierpieli więc biedy i żyli spokojnie.

Pewnego dnia Wawrzyńcowa rzekła cicho do syna:

— Kaziu, jestem dziś chora, czuję dotkliwy ból w rękach i nogach, pracować nie mogę. Idź do pani Józefowej; proś ją, żeby mnie odwiedziła; zna się na ziołach, pewnie mi co pomoże.

Gdy Kazio to usłyszał, zbladł, zaniepokoił się bardzo i poszedł do pani Józefowej, a od niej zwrócił swe kroki do szkoły.

Po drodze wstąpił do kościoła. Ukłękawszy na stopniach ołtarza, w którym był obraz Najświętszej Panny z Dzieciątkiem Jezus na łonie, błagał Boga o zdrowie dla matki.



Kiedy tak się modlił, zdawało mu się, że Matka Boża czule spogląda na niego i mówi:

— „Nie martw się, Kaziu, mateczka twoja wyzdrowieje!”

Gdy wychodził z kościoła, lżej mu się na sercu zrobiło.

Niestety, gdy wrócił do domu, nie było lepiej jego matce, czuła dotkliwszy ból i rwanie w nabrzmiałych palcach i stawach. Pani Józefowa robiła co mogła. Odczyniła jej, jak mówiła, uroki: wrzuciła trzy rozżarzone węgielki do wody i przemówiwszy coś po cichu, umoczonymi w tej wodzie palcami, nacierała ręce i nogi jego matce, ale choroba nie ustępowała.

Nazajutrz i następnych dni nie było lepiej. Kazio smutny, zmartwiony, chodził z kąta w kąt, jakby mu czegoś brakowało, nie dotknął nawet nawet żurku, który mu zawsze tak smakował. Podobnie nie smakował mu obiad.

Jadł wprawdzie, bo był głodny, ale łzy wciąż spływały po twarzy.

Jakże to było inaczej, gdy mateczka siedziała przy nim, kładła mu na talerz jarzynę lub kawałek mięsa, mówiąc:

— Jedz, Kaziu, jedz a rośnij!

Dobra pani Józefowa spędzała kilka godzin dziennie przy chorej jego matce i wyręczała ją w gospodarstwie.

Od czasu choroby matki, Kazio codziennie

wstępował do kościoła, zanosząc modły do Boga o jej wyzdrowienie.

Jednego dnia tak gorąco się modlił, że bezwiednie pod koniec modlitwy, wołał pół głosem:

— Boże, dopomóż mamie!

W pobliżu ołtarza siedziała w ławce jakaś pani, która widząc małego chłopczyka, modlącego się tak żarliwie, chciała dowiedzieć się, o co on się tak modli, a usłyszawszy te wyrazy, bardziej się jeszcze zaciekawiła.

Poszła za Kaziem, kiedy ten wychodził z kościoła, a gdy oboje stanęli na ulicy, zapytała go, na co matka jego choruje.

— Mama użala się na ból w rękach i nogach — odrzekł Kazio — ma takie silne rwanie w stawach, że często zanosi się od płaczu.

— Zaprowadź mnie do twej mamy — rzekła nieznajoma — może jej co pomogę.

Była to pani, która skończyła nauki lekarskie, umiała ona leczyć różne choroby.

Gdy nieznajoma stanęła przy łożu chorej matki Kazia, odrazu spostrzegła nabrzmiałe jej ręce i zapytała jakich lekarstw używała.

Chora odpowiedziała, że żadnych, że tylko sąsiadka odczylniła jej urok.

Nieznajoma pani rzekła na to:

— Odczynianie uroków to przesąd nierozumny... Zajmę się wami i wyleczę was, abyście

mogli waszego synka wychować na porządnego człowieka.

Jak rzekła tak uczyniła ta dobra pani. Kupiła lekarstw i tak umiejętnie dawała je chorej, że ta po tygodniu wyzdrowiała.

---

HIERONIM KUCZAŁSKI.

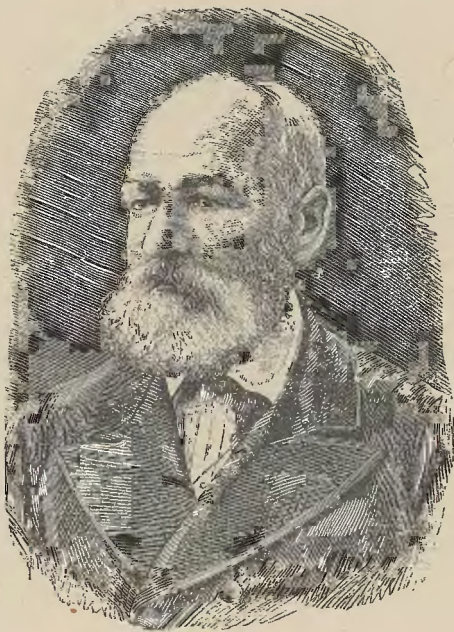
---

## O K O M E T A C H.

---

Oprócz planet inne jeszcze ciała niebieskie w skład naszego systemu planetarnego wchodzią. Są to komety, ciała bardzo wielkich zwykle rozmiarów, kształtów rozmaitych, a złożone z materyi bardzo rzadkiej.

Od czasu do czasu zjawiają się one w pobliżu ziemi i znowu ulatują w przestrzeń, częstokroć na odległości niezmierne. Zwykle składają się z części gęściejszej, w jednej stronie ciała komety znajdującej się, świecąc światłem jaśniejszem, niby jak gwiazda i w ruchu swym ku słońcu zwróconej; część ta głową albo jądrem komety się zowie.



Hieronim Kuczalski, zasłużony długoletni  
współpracownik „Przyjaciela Dzieci“.

Wlecze ona za sobą ogon niezmiernie przedłużony, mniej więcej słabszego światła które stopniowo się zmniejsza, im bardziej ogon od jądra komety się oddala.

Ogony komet bywają niezmierniej długości, nieraz jedną trzecią część horyzontu widzialnego zajmują. Kometą, która ukazała się w r. 1618, miała ogon przeciągający się na 104 stopnie, a więc zaimował on przeszło połowę widzialnej przestrzeni nieba. Ogon komety w r. 1680 miał 90 stopni długości.

Ogony te przybierają najrozmaitsze kształty, bywają pojedyncze, podwójne, a nawet i kilka ich od głowy komety się rozchodzi; i tak kometą z r. 1744 miała aż sześć ogonów w kształcie wachlarza rozpuszczonych; kometą z r. 1825 pięć ich posiadała.

Kometą z podwójnym ogonem, która się ukazała w r. 1823, tem na uwagę zasługuje, że te jej dwa ogony tworzyły kąt bardzo rozwarty.

Często ogony powstają dopiero wtedy, gdy kometą do słońca zbliżać się zaczyna. Zjawisko to doskonale było zbadane podczas pojawienia się pysznej komety Donatiego w r. 1858. Z początku widziana przez teleskopy, była bezogoniasta i przedstawiała się jako gwiazda, zaledwie jedenastej wielkości, słabo świeciła, a wydawała się jakby mgłą otoczona; w miesiąc potem już była gołym okiem widzialna, jako gwiazda 5-tej wiel-

kości i ślady ogona już się ukazywały. Ogon ten rósł szybko, a w półtora miesiąca kometa już współlubiegała się co do blasku z najświetniejszymi gwiazdami, ogon jej na 18 stopni długi ( $5\frac{1}{2}$  milionów mil), jaskrawem świecił światłem.

Jest to rzeczą małą w porównaniu z ogonami wielu innych komet, które znacznie większych dochodzą rozmiarów; naprzykład ogon komety z r. 1843 obliczono na  $32\frac{1}{2}$  milionów mil długości.

To niespodziane pojawienie się tych ciał niebieskich, których ogony przybierają kształty miotła, różg, mieczów ognistych i tym podobnie, rodzi w nieoświeconych umysłach ludzkich przestrasz wielki.

W starożytności, lecz bardziej jeszcze w wiekach średnich, które odznaczały się usposobieniem do zabobonów i ślepą wiarą we wpływy ciał niebieskich na losy ziemskie, komety ważną grały rolę; w ich zjawianiu się upatrywano przepowiednię ważnych wypadków, klęsk publicznych, lub śmierci znakomitych osób, wojen lub morów.

Muszę choć parę wypadków historycznych wam przytoczyć, w których jedna i ta sama kometa, obecnie doskonale poznana, skutkiem takiej wiary ślepej, a mocno zakorzenionej, poważną odegrała rolę, a bodaj czy nie spowodowała ważnych historycznych faktów.

Kometa owa zowie się obecnie kometa Halleya, albowiem ten uczony astronom pierwszy zba-



dał jej ruchy i obliczył jej bieg z największą dokładnością. Drogę swoją w około słońca odbywa znowu lat 75, a zatem w tym czasie najregularniej zjawia się w pobliżu ziemi i staje się widzialną. Otóż gdy pojawiła się w roku 1066, sławny Wilhelm Zdobywca, książę Normandyi, rozkazał okrzykiwać po całym kraju: „Nova stela, novus rex!” (Nowa gwiazda, nowy król!) i wzięwszy ją za godło, całe rycerstwo Normandzkie pociągnął za sobą na wyprawę wojenną do Anglii.

Rycerstwo ufne w tak wyraźną opiekę niebios, tłumnie pośpieszyło za nim i pokonawszy z niewypowiedzianym męstwem opór wszelki, całą Anglię zawojowało, a Wilhelma królem jej okrzyknęło.

Dalej znowu też sama kometa pojawiwszy się w r. 1456 z ogonem mającym kształt krzywej szabli, przestrasza ogromny na świat chrześcijański rzuciła. Koniecznie chciano upatrywać w niej odpowiednie, że Mahomet II, który wtedy Białogród oblegał, aż do Rzymu zwycięsko się dostanie. Papież Kalikst III-ci ustanowił wtedy modlitwę, którą odmawiano w południe, aby uprosić Boga o odwrócenie tej klęski.

W lat 75 potem za następem pojawieniem się swoim w r. 1531, niewinna kometa stała się przyczyną śmierci Ludwiki Sabaudzkiej, matki króla Francyi, Franciszka I-go.

Na widok jej ta dumna księżniczka odezwała się w te słowa:

— Oto znak, który nie ukazuje się dla popolitych ludzi, lecz tylko dla nas, wielkich tego świata. On mi zwiastuje śmierć moją.

I tak była przejęta i przerażona tą myślą, że położywszy się do łóżka, już z niego nie wstała i we trzy dni umarła. Gdyby księżniczka Sabaudzka więcej miała chrześcijańskiej pokory, nie odnosiłaby do siebie tego zjawiska i wiedziałaby, że wobec praw wiekuistych i niezmiennych, przez mądrość Bożą całej naturze nadanych, dumna Ludwika Sabaudzka, matka króla Franciszka, ani trochę więcej nie znaczy od najlichszego robaczka, i że jedne prawa życia zarówno im służą.

Dotychczas jeszcze we wszystkich krajach lud prosty z podziwieniem i przestachem patrzy na te ogoniaste ciała niebieskie, od czasu do czasu się pojawiające i przepowiednię blizkich nieszczęść z nich wyprowadza, lecz astronom i badacz natury zupełnie innem na nie spoziera okiem. Widzi w nich ciała niezmiernie wielkie, przechodzące ogromem swoim nie tylko wszystkie planety razem, lecz i słońce nawet, wokół którego krążą po innych liniach, aniżeli wszystkie planety, w najrozmaitszych kierunkach drogi tych planet przecinając i zapytuje nauki, czem są te ciała? Lecz nauka zupełnie dokładnej odpowiedzi jeszcze dać nie może. Obliczyła ona krzywiznę dróg ich,

najmniejszą i największą odległość ich od słońca, wielkość i czas nieraz kilku tysięcy lat, jakiego potrzebują do obiegu w około wspólnego środka ciężkości planetarnych, lecz co do ich istoty wewnętrznej, co do ich składu, na przypuszczeniach tylko, mniej więcej prawdopodobnych, poprzestać musi. Oto co o nich z pewnością powiedzieć możemy:

Komety ruch swój wokoło słońca odbywają po liniach krzywych zamkniętych, mających kształt owalu, czyli koła przedłużonego, linia taka zowie się elipsą. Wprawdzie i wszystkie planety nie po zupełnie regularnych kołach, lecz także po elipsach odbywają ruchy swoje, ale i te mało są przedłużone i prawie do regularnego koła się zbliżają.

Elipsy zaś, po których przebiegają komety, są bardzo długie i wąskie, i co więcej, przecinają w poprzek drogi planetarne.

Ciała komet, jakkolwiek tak ogromne, lecz złożone są z niezmiernie rzadkiej substancji, tak rzadkiej, że przez nią przeświecają gwiazdy nie ze swego blasku nie tracąc, nietylko przez ogony, ale nawet przez daleko gęściejsze głowy komet, które zawsze do słońca są obrócone, ogony zaś w stronę przeciwną. Zdają się one tworzyć ostrosłupy z materji składowej komet, próżne wewnątrz. Komet nie należy uważać za ciała stałe, ani płynne, ani gazowe, lecz jako masy pyłu, zbiór z ato-

mów materji kosmicznej (z której ciała niebieskie są złożone), niezmiernie rzadkiej i nadzwyczajnie mało spójności między sobą mającej. Skupia się ona wprawdzie i zgęszcza nieco ku głowie swojej, tworząc jakby stałe jądro, lecz i ono jeszcze bardzo jest rzadkiem w porównaniu z gęstością planet.

Komety, które zbliżają się do słońca w obiegu, nabierają niezmierniej szybkości, skutkiem coraz to wzrastającej siły ciężenia, oddalając się zaś, coraz bardziej ją utracają dla tejże samej przyczyny, tak, że bieg ich, który dochodził do tysiąca mil na sekundę, w najdalszym punkcie od słońca ledwo już ma szybkość wiatru, kilka metrów na sekundę, nie więcej.

Krzyżowanie się dróg komet z drogami planetarnymi było powodem dla wielu astronomów do obrachowywania możliwego spotkania się jakiej komety z ziemią naszą i do przepowiadania klęsk najokropniejszych, końca świata i tym podobnych wskutek takiego zetknięcia się.

Obawy jednak zupełnie są płonne, ciała bowiem komet, tak są niezmiernie rzadkie, że, jak powiada Newton, kometa tak wielka, jak Saturn, mogłaby się pomieścić w naparstku, gdyby ją można było zgęścić do stopnia powietrza atmosferycznego, którem oddychamy.

Inny tegoczesny znakomity astronom fran-

cuski—Flammarion, utrzymuje, że uderzenie komety o ziemię, taki sam skutek by na nią wywarło, co uderzenie muchy o lokomotywę.

Dodać jeszcze muszę, że komety, których ilość jest niezmierna, świecą światłem od słońca pożyczanem, tak samo jak i planety.

---

KAZIMIERZ KRÓL.

---

## C Y D.

Wyjątek z hiszpańskiego poematu średniowiecznego.

---

Rozpoczęły się przygotowania do uroczystości weselnych. Ściany pałacu obito drogim atłasem wschodnim i purpurą, posadzki zasłano wzorzystymi kobiercami, ustawiono drogie sprzęty: wszędzie przepych rozkosznie radował oczy i budził podziw.

W dniu oznaczonym zebrało się w pałacu koło rycerskie i dano znać hrabiom z Karyonu że mogą już przyjechać. Przybyli strojno i zbrojno na wspaniałych koniach i śmiało wkroczyli do sali przez rozwarte podwoje.

Tam oczekiwał ich Kampeador, otoczony gronem baronów lennych.

Skłonili się uprzejmie przed nim i przed Ximeną, a potem zasiedli na rzeźbionych ławach. Wszystkich oczy zwróciły się teraz na Cyda.

Bohater powstał i wezwawszy Minaję, rzekł do niego:

— Czas już rozpocząć co należy i działać.

— Drogi mój rycerzu, Alwar Farezie! oddaję w twe ręce obie córki. Wiesz, o com prosił króla; wiesz, że jego wola jest dla mnie prawem. Teraz ty oddaj moje córki hrabiom z Karyonu, niech im poślubią wiarę dozgonną.

Na znak Fareza, powstały obie dziewice, on zaś tak przemówił do hrabiów:

— Ja, Minaja, w imieniu mego pana, króla Alfonsa, oddaję wam te córy zacnego rodu, abyście związali się z niemi wiecznemi ślubami i zapewnili im przez to cześć i należną powagę między ludźmi.

Hrabiowie ujęli ręce dziewczę, ucałowali ręce Ximeny i Cyda, i wyszli z całym orszakiem weselnym do świątyni.

Tam biskup Hieronim, odziany w złotogłów, przyjął u proga młode pary, i przed ołtarzem połączył je słowami przysięgi, wyrzeczonemi w imię Boga.

Po obrzędzie kościelnym, młodzi hrabiowie dosiedli rumaków, bo na polu za miastem odbywały się harce i gonitwy rycerskie.



Cyd trzy razy zmieniał konia i wesołym okiem przyglądał się, jak hrabiowie z Karyonu uwijali się wśród innych, popisując się zręcznością i siłą.

Po gonitwach wrócili do miasta w Alkazarze.

Nazajutrz rano przed ucztą, kazał Kampeador zatknąć na słupach siedem wielkich tarczy, i młodź rycerska godziła w nie na popis kopiami.

Przez dwa tygodnie na dworze Cyda rozlegał się gwar uczt wesołych, wrzawa i zgiełk i zamęt.

Wreszcie rycerstwo Alfonsa zaczęło się zabierać do drogi z powrotem. Cyd rozdał mnóstwo mułów, wspaniałych koni, przepysznych rzędów, stopy futer, pokrytych purpurą i szat jedwabnych, bramowanych złotem, a któżby policzył wszystkie pieniądze!

Lennicy Cyda obdarzyli również hojnie współtowarzyszów przybyłych w gościnę; każdy z bogactwem wracał do Kastylji. Goście z wdzięcznością pożegnali Cyda, panów i niewiasty dworskie, wysławiając szczerze przyjęcie w Walencyi.

Na dworze Cyda pozostali tylko dwaj hrabiowie z Karyonu i dwa lata przebyli przy jego boku, kochani od blizkich i czczeni od obcych.

Ruy Dyaza radowała ich postępki, poko-

chali ich także jego baronowie; życzo no sobie powszechnie, żeby małżeństwo hrabiów z córkami Cyda było i nadal źródłem pociechy i chluby.

Na tem się kończą pierwszej pieśni słowa.  
Niechże nas Stwórca w łasce swej zachowa!

---

P O E Z Y A.

## P A S T E R Z.

---

Obca dla mnie z bogactw pycha,  
Ni o szat mych stoję chwałę,  
Szczupła drwała chatka cicha,  
To są moje skarby całe.

Mała chatka, ale własna,  
Lepsza, niżli gmachy cudze,  
U stóp góry woda jasna  
Własnem kwiatem brzęczy strudze.

Tu swe wianki topol wznosi,  
Tam gaj chłodnym kwitnie majem,  
Temu, który szczęście głosi,  
Step się nawet stałby rajem.

Flet pasterza, trzody dzwonek  
Słodką chyba przerwie ciszę,  
Ze snu wzbudzi się skowronek,  
Słowik do snu zakołysze.

Prócz psów wiernych żadnej warty  
Strzedz nie trzeba od pasterzy;  
Jak ich serca dom otwarty,  
Próżne zdrady, wszystkim wierzy.

U nas żniwo, lub sianokos,  
To zabawa, to wesele;  
Gdy kłos w snopy, kwiaty w pokos  
Pracowita ręka ścięła.

Błyszczą kosy, pieją żeńce,  
Nie śpi echo od ich głosów.  
Tobie pierwsze plotą wieńce,  
Z wonnych kwiatów, z plennych kłosów.

Plon nasz mały, lecz nie mylny,  
Zlany potem a nie łzami;  
I obfitość, pókim silny,  
Musí zawsze mieszkać z nami.

*Antoni 'Odynieć.*

---

## UCZEŃ I JEDWABNIK

---

— zczęśliwy motyl! buja swobodnie, wesoło!  
Zawołał uczeń znudzony swą szkołą,  
— A moja dola jakże opłakana!  
Pracuj i pracuj od nocy do rana.  
Jak jaki więzień u tacek!  
Wtem patrzy: jakiś robaczek,  
Pracowicie i cierpliwie,  
Sam się we własne zasklepia przedziwie,  
Więc z oburzeniem krzyknie na owada:  
— Maszże ty rozumu choć szczyptę w głowie?  
Szalenić chyba więcej sam na siebie wkłada!  
— Jam rad to czynić — jedwabnik odpowie,  
Gdyż wiem, że nadejdzie chwila,  
Gdy z nich wylecę, zmieniony w motyla!

*Adam Pług.*

---

## PODPORA.

---

Raz Oleś, chłopak już spory,  
Lecz z pustą jeszcze i upartą głową,  
Widząc szkółkę owocową,  
W której z palików podpory  
Podtrzymywały wszystkie płonki młode,  
Zapytał ogrodnika: powiedz mi, Stefanie,  
Na co tym drzewkom odbierasz swobodę?  
Na co je męczysz? Mnie, gdy patrzę na nie,  
Doprawdy aż serce boli!  
Bo każde z nich, to obraz mej własnej niewoli.  
Te suche, sztywne, twarde przy nich koły,  
Co im pobujać z wietrzykiem nie dadzą,  
To jak profesor, pod którego władzą  
Smutnie mi schodzi młody wiek wesoły.  
Dziś stary nudziarz, chory, w łóżku leży,  
To mi i raźniej, i w poranek świeży  
Zamiast tracić nad książką i humor i siły,  
Robię co zechce, i świat mi dziś miły.  
Pocziwy Stefku! proszę zgódź się na to,  
Abym te szczepy, co są własne moje,  
Uwolnił od podpórek, a przez jedno lato  
Wzrost ich i siłę najpewniej podwoję.  
— Ejże nie, mój Olesiu!—rzecze Stefan stary,  
Ale że mi na słowo pewno nie dasz wiary,  
Więc spróbuj; ujrzysz potem, co się z nimi stanie,  
A z nich do siebie zrobisz porównanie.  
Oleś wnet więzy porozcinał żwawo,  
Močne podpory powyrywał z ziemi,  
I rzekł wesoło: — jesteście wolnymi!  
Teraz, jak chcecie, bujać macie prawo.

Przyjdę za tydzień, i jak mam nadzieję,  
Ujrzę, że z wami już się lepiej dzieje,  
I pobiegł dalej, sam bujać swobodnie.  
Lecz ni za tydzień, ni za dwa tygodnie,  
Oglądać drzewek swych nie przyszedł wcale;  
Bo rozigrany w samowolnym szale,  
Ten, co tak przykrzył mentora opieką,  
Karku nadkręcił i został kaleką,  
A jego drzewka, którym odebrał paliki,  
W parę dni potem pierwszy wichur dziki  
Jedne połamał, a drugie pokrzywił;  
Więc Oleś wcale ich nie uszczęśliwił.

Żle bez podpory i drzewu i człeku,  
Żle i w dziecińnym i w dojrzałym wieku.  
o jak płonkę od zguby prosty palik chroni,  
A dziecię kierownictwo doświadczeńszej dłoni,  
Tak męża dojrzałego trzyma Prawo Boże,  
Na którem kto się całą nie opiera duszą,  
Ten silnym i bezpiecznym nazwać się nie może,  
Bo go wichry żądz własnych zgiać lub złamać  
[muszą.

*Adam Pług.*

---

## ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

---

Powiedz, słowiczku, powiedz, mój mały,  
Błagam na wszystko w świecie:  
O czem ty śpiewasz przez wieczór cały,  
W naszym ogródku w lecie?



Czy opowiadasz swoje przygody,

W miłym rozgłośnym śpiewie,

Jakieś przeleciał wonne ogrody,

Na jakim spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone,

Gdy skwarne słońce pali?...

Jak rankiem strząsasz piórka zroszone,

W cichej powietrza fali?

Czy o gwiazdce małej, drżącej,

Na lazurów niebie?

Czy o tej wodzie zwolna ciekącej,

Powiedz mi, proszę ciebie?

— O ja ci powiem, śliczna pastuszko,

Śpiewam piosenkę twoją,

Kiedy ci za czemś tęskni serduszko

I... oczy we łzach stoją.

Kiedy zanika twój uśmiech słodki,

I patrzysz, smętna, blada,

A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,

Kwiatki po kwiatku spada.

*Teofil Lenartowicz.*

---

## Z B O Ź E.

---

Jakże się oko nasze zachwyca, +

Jakże się pieści łąków obszarem!

Tu jęczmień, żyto — a tam pszenica,

Złote się kłosy gną pod ciężarem. ✓

O, dobry Boże! dzięki Ci, dzięki!  
Wszystko nam dałeś, co nam potrzeba.  
I chleb powszedni mamy z Twojej ręki,  
Tylko nam braknie nauki chleba.  
Dozwól! o! Panie! by dla Twojej chwały  
Jej ziarna w sercach naszych dojrzały!

*Władysław Bełza.*

---

## ROLNIK.

---

Ze mgły porannej zabłysnął dzionek,  
Już ze snu cała wioska się budzi,  
Wdzięczną piosenkę dzwoni skowronek,  
Wierny towarzysz wieśniaczych ludzi.  
Poobciążane pługiem i broną,  
Poważne wołki ciągną na pole:  
I pilny rolnik ręką strudzoną,  
Złociste ziarna rzuca na rolę!  
O, cześć ci, siewco! bo z twego trudu  
Na chleb powszedni starczy dla ludu!...

*Władysław Bełza.*

---

## SZUFLADA I GŁOWA.

---

Pewien uczony,  
Bardzo wślawiony,  
Pokazywał mi szufladę.

— Patrz, co to ja w te papiery  
Przez lat trzydzieści i cztery  
Rozumu, nauki kładę.

— Ach! ktoś na to z boku doda,  
Cóż to za wielka szkoda,  
Moi mili panowie,  
Że rozum i nauka,  
Których każdy w głowie szuka,  
U tego pana w szufladzie, nie w głowie.

*J. I. Kraszewski.*

---

## W RYBACKIEJ CHACIE.

---

SEN.

Boże! to burza! błękit się cały  
Skrył w ciemne chmury; dalekim grzmotem  
Zbudzone mewy z gniazd się porwały,  
I wichry fale tłucze z łoskotem  
O puste brzegi.. Błysło!— tam w krwawem  
Świetle mignęła łódź, na niej... Boże!  
O pomoc woła mąż mój i łzawem  
Spojrzeniem patrzy w dal — i nie może  
Pochwycić steru, ni żagli rozwinąć.

Ha! bałwan leci na łódź i gna ją  
Pod zgubną rafę! O, nie daj zginąć,  
Panie! za ojcem Ciebie błagają  
Matka i dziecię!

✱                      ✱                      ✱

Bądź pochwalony!..  
Cóż to! już śpicie? — no, zbudź się, ptaszę,  
Zaśpiewaj ojcu, on tak strudzony..  
To ty?... wróciłeś, o, szczęście nasze!

*Miron.*

---

## PIEŚŃ WIOŚLARZY.

---

Hej! wiosłarze, w drogę, dalej!  
Pożegnajmy miejski brzeg:  
Tam nas szmerem słodkim fali  
Wabi macierz naszych rzek.  
Więc za wiosła! razem śmiało. —  
Zgoda wzmacnia ster.  
Płynimy, bracia, Wisłą białą  
Do zamglonych sfer!

Modre niebo nas okrywa  
W płaszczyz utkany z słońca, gwiazd —  
Łódka nasza, niby żywa,  
Leci szlakiem wsi i miast.  
W serce spokój, rzeźwość, siła  
Płynie z biegiem fal;  
Hej! Wisielka nasza miła,  
Błyszczy jako stal!

Nim wrócimy do przystani,  
Jeszcze chórem wznieśmy pieśń;  
W prądach wichru wykapani,  
Zrzucim z duszy marną pleśń!

Żadna toń nas nie przestrasza,  
Choć u morza wrót;  
Nieś nas wartko, piękna, nasza,  
Matko polskich wód!

*Józef Grajner.*

## TRZY ODPOWIEDZI.

---

### Legenda.

W świetnej stolicy był władca wspaniały,  
A w górach pasterz, dziecko jeszcze pono,  
I raz usłyszał ów król pełen chwały,  
Jak przy nim rozum pastuszka sławiono.

Więc do pałacu, do tronowej sali,  
Kazał przywołać chłopczykę i rzecze:  
— Twój umysł wielbią i wielcy i mali  
Niechże im wszystkim i ja nie zaprzeczę.

Jeśli odpowiesz tak trafnie i żywo  
Na trzy pytania, że zdobną wawrzynem  
Rad nie rad głowę nachylę sędziwą,  
Zostaniesz przy mnie i nazwę cię synem.

Powiedz mi najpierw, ile kropel wody  
Zawiera w łonie swem ocean wielki?  
— Najchętniej, królu, mam czas, jestem młody.  
Więc do ostatniej przeliczę kropelki.

Tylko o, panie, deszcz z niebiańskich pował,  
Mógłby rachubę pomieszać mi snadnie,  
Racz więc zakazać, gdy będę rachował,  
Niech kropla deszczu w ocean nie wpadnie.

— Dobrze, tymczasem odpowiedz mi żwawo,  
Ile gwiazd płonie tam na firmamencie?  
Takiej rachuby dokonam zabawą,  
Nie łatwiejszego, nie zginę w odmęcie!

Wznies tylko, panie, królewskie oblicze,  
I rozkaż niebu, niech schyli się całe,  
Niech mam pod ręką gwiazdy, a przeliczę,  
Jak najdokładniej—i wielkie i małe.

— Dobrze, a teraz porachuj mi ściśle,  
Ile dni w całej mieści się wieczności?  
— O, królu! nad tem ani się namyślę,  
Dam ci odpowiedź bez żadnej trudności.

Rozkaż, monarcho, pociężny, łaskawy,  
Niech czas w swym biegu odwiecznym się wstrzyma,  
A o pomyłkę nie doznasz obawy,  
Przeliczę wieczność przed twemi oczyma.

— Słuszne o tobie głoszone pochwały,  
Rzekł król— i jabym zapierał daremno,  
Odpowiadałeś, jak mędrzec dojrzały,  
Bądź moim synem i pozostań ze mną.

*Jan Chęciński.*

---

## LISTOPAD.

(z francuskiego).

---

DZIECIĘ.

Gdy chłodem zimy naszej jaskółki złężnione  
Opuszczą kraj nasz, Matko, gdzie polecą one?

MATKA.

Mój synku — lekkim skrzydłem przemkną nad wodami  
I po długiej podróży odnajdą zarazem  
Jasne niebo i słońce i drzewa z listkami.

DZIECIĘ.

Matko! jest więc kraina ze szczęścia obrazem;  
Gdzie mroźny wiatr północny nigdy nie zawieje?

MATKA.

Jest, synku — tam wiosna jaskółkom się śmieje;  
Tam dni zawsze pogodne i pogodne noce;  
Tam wiecznie kwitną lilie, raju pieścidelka,  
I winnica ma wiecznie swe złote owoce..

DZIECIĘ.

O, Mamo! gdyby to Bóg dał nam był skrzydełka,  
Tobyśmy jak jaskółki lecieli oboje.  
Mnie zimno... u nas prędko słoneczko już zajdzie,  
Mamo... prosz ty aniołka, by nam oddał swoje!...

MATKA.

Uspokój się, dzieciно... skrzydełko się znajdzie.

*Józefa Kamocka.*



## PTASIA MATKA.

W zielonych liści strzesze,  
W gniazdku z brzozonej kory,  
Żółtych pisklatek rzesze  
Wznosiły w niebo chory.

Ztąd gniazdko, dzień czy burza,  
Płonęło dziobków grottem,  
Jak wielka polna róża  
Swoich pręcików złotem.

Nadfrunął kobus srogi,  
Zamilkły ptasząt śpiewy,  
Na matki okrzyk trwogi,  
Pierzchnęły starsze z krzewy.

Najmłodszy, słaby jeszcze,  
Schronić się nie pośpieszył,  
Porwał go kobus w kleszcze  
I szponem piersi przeszył.

Trysnęła krew na krzaki,  
Jak z koralików sznura,  
Wtem zewsząd bijąc ptaki,  
Zerwały łup z pazura.

Upadł na stokroć białą,  
Krew z piersi szła strumykiem,  
Spadła i matka strzałą  
Z krającym serce krzykiem.

I do żółtego dziobka  
Wkładała z rosą ziółka,  
To znów małego trupka,  
Oblatywała w kółka.

I rzewnem mu kwileniem  
Dzwigała końcem lotek,  
Ale spał wciąż kamieniem  
Nieczuły jej świergotek.

Z ocz mu łez trysły zdroje,  
Gdy z śmiercią do ostatka  
O piskle wiodła boje  
Ta biedna ptasia matka.

Od śmierci niema ziela!  
Przecież w obronie dziątek  
Na śmierć się iść ośmiela,  
Niejedna z czułych matek.

*Stefan z Opatówka.*

---

## MŁODY KOGUTEK.

Bajka.

---

Mały jeden kogutek, zgrabny i przystojny,  
Z swoimi kolegami ciągle toczył wojny,  
A że mu drugich zawsze zwyciężyć się dało,  
Z starszym silnym kogutem bić mu się zachciało.  
Więc staje do turniejów, ogonek rozszerzył,  
Zrobił minę zuchwałą i pierze najeżył.

Staremu kogutowi zastępując drogę,  
Podskoczył, machnął skrzydłem i dziobnął go w nogę.  
Obrażony i słusznie na śmiałość zuchwalca,  
Stary kogut porządnie poturbował malca,  
I tak go silnym dziobem mocno pałnął w krzyże,  
Że się biedak z tej rany pewno nie wyliże.  
Biedny, mały kogutek — ale tak to bywa,  
Gdy się hardy zuchwalec na starszych porywa.

*Faustyn Świdorski.*

---

## CHMIEL I TYCZKA.

---

### Bajka.

— Jakże wyglądasz lichy i nikczemnie,  
Jak jest mizerną postać twoja cała,  
Tak chuda, cienka! O tybyś beze mnie  
Niczem w prześlicznej przyrodzie została.  
Ja twoją nagość oplatam swym listkiem,  
A rozpoczynasz przystrajać na wiosnę.  
Barwię zielenią — jam dla ciebie wszystkiem,  
Bądź więc szczęśliwą, że przy tobie rosnę.

Takie wyrazy wśród wiejskiej ustroni

Rzekł chmiel do tyczki, pnąc się w górę po niej.

Chuda zaś tyczka odpowie mu na to:

— O, dumny chmielu, wiem, że moja postać,  
Nie będąc w skarby przyrody bogatą,  
Jest zbyt nikczemna, by ci mogła sprostać;

Lecz gdy się wznosisz do góry wspaniale,  
Ja dobroczynnem wspieram cię ramieniem,  
Bez mej pomocy ległbyś marnie w skale,  
Zżółkły, uwiedły, wiecznym okryty cieniem  
Nie chęłp się zatem twym wdziękiem zwodniczym,  
Gdyż chmiel bez tyczki pozostaje niezem.

Treść mej bajeczki o tyczce i chmielu  
Na tej rozmowie zakończyłem właśnie,  
Jeśli zaś chcecie wiedzieć, w jakim celu,  
Skreśliłem bajkę, wnet wam to wyjaśnię:  
Na Bożym świecie, nawet często bardzo,  
Zdarza się ludzi niewdzięcznych nie mało,  
Co się dźwignąwszy, tem ramieniem gardzą,  
Które ich w troskach szlachetnie wspierało.  
I nie chcą uznać, jakby trudno było  
Wznieść im się w górę własną swoją siłą...  
*Ludwik Niemojewski.*

---

## CZUWANIE SERCA.

Dumka dziewczęcia.

Chociaż mnie powab młodości ludzi,  
Serce me czuwać będzie na wieki,  
Ukocha Stwórcę, naturę, ludzi,  
I świat nadziemski—daleki.

Umysł i serce—jednego ducha  
Dwa nierozdzielne promienie,  
Jeden drugiego wezwania słucha,  
Lecz z serca spływa natchnienie.

Rozum obiegnie wiedzy granice,  
Sięgnie na świata kończyny,  
Serce po za świat zrodzi tęsknicę,  
Zrodzi nadzieję i czyny.

O ile wyższym czyn jest od myśli,  
O tyle wyższa serca potęga,  
Co wola pragnie, co umysł kreśli,  
To serce godzi i sprzęga.

Liczne uczucia w sercu dziewiczym,  
Lecz jedna z prawem wyższości,  
Bo wszystkie cnoty jeszcze są niczem,  
Gdy niema cnoty—miłości...

Ten, co najwyższym jest ideałem,  
Człekiem na ziemi, a Boskim synem,  
Słowem, co dla nas stało się ciałem,  
Był też miłością i czynem.

O więc niech serce czujące szczerze  
Ku niemu najprzód ozwie się biciem,  
Szukając siły do życia w wierze,  
Bo On jest siłą i życiem.

Ukocham potem prostą rodzinę,  
Która w nas pierwsze uczucia budzi,  
Miłować będę naszą krainę  
I wszystkich bliźnich i ludzi.

Tego zaś, który z moją przyszłością  
Związany na zawsze w świat mnie powoła,  
Ukocham taką świętą miłością,  
Jak kocha anioł anioła.

Ziemi ojczystej rodzinne piękno  
Uczuję także sercem jej córy,  
I gór jej echa w piersi mi jękną,  
Zaszumią puszcze i chmury.

O! żyć tak będę ciepłem ukrytem,  
Uśpiona zewnątrz w ruchliwym tłumie,  
Lecz Ten, co włada wszech istot bytem.  
Czuwanie moje zrozumie.

*J. Laskarys.*

---

## JAM NIE SIEROTĄ.

---

Choć inni w udział wzięli dostatki,  
Mnie los zasmucił tęsknotą,  
Ja nie mam Ojca, ja nie mam Matki,  
A jednak jam nie sierotą.

Ten, co dał liliom pyszne ich szaty,  
Co polne żywi ptaszęta,  
On moim Ojcem, On tak bogaty  
O swem dziecięciu pamięta.

A mam i Matkę: jest to kościół Boży,  
Co karmi duchowym chlebem,  
I z łez boleści skarby nam mnoży,  
I w bólach cieszy nas niebem.

Mam i rodzinę wśród tego świata,  
Po wszystkich zakątkach ziemi,  
Każdego z ludzi kocham jak brata,  
Chęciami serca szczeremi.

Mam i bogactwa marzeń złocistych  
I uczuć w sercu skarb mnogi,  
I roje wspomnień jasnych srebrzystych,  
Zebranych wśród życia drogi.

Wiary najświętszej kosztowne szaty,  
Nadziei tęczowe tkanki,  
Miłości w sercu zasób bogaty  
I prosty krzyż chrześcijanki.

Z temi to skarby pożycia drodze  
Chociaż pot skrapia me lica,  
Choć ostre ciernie ranią mnie srodze,  
Dążę do domu rodzica.

A gdy miecz cierpień tkwi w mojem łonie,  
Bóle me znoszę z ochotą,  
I z duszą w niebo podnosząc skronie,  
Powtarzam: jam nie sierotą!

*E. Leja.*

---

## MARZENIE.

---

Chciałbym mieć, chciałbym mieć  
Dom murowany,  
Słoneczne w nim, białe jak śnieg  
Byłyby ściany.  
Na lasów krag, na zieleni łąk  
Okna patrzące,  
A wewnątrz ścian sto szkolnych ław  
Jasnych jak słońce.



Na dzwonu głos, poranny głos  
Ze wszystkich chatek,  
Z pobliskich siół, biegałby tłum  
Ochoczych dziątek.  
I wnet by dom rozszeptał się,  
Jak łan zbożowy.  
Bo z żywych słów i z kartek ksiąg  
Szłyby rozmowy.  
O świecie tym, gdzie boski cud  
Na każdym kroku.  
O ziemi tej, o synach jej,  
O dziejów toku.  
A z rąk do rąk biegłby w krąg,  
Wśród pogadanki,  
To kwiaty pól, to liście drzew,  
To — malowanki.  
A potem wraz zabrzmiałby śpiew  
Cbórem rozgłośnie,  
Z dziecięcych łon, w radosny ton,  
O życia wiośnie.  
Na pracy cześć, na światła cześć  
Brzmiałyby słowa,  
Niosłaby je do niskich chat  
Strona echowa.

*Cecylia Stattlerowa.*

---

## PIOSNKA ROLNIKA.

---

Plonuj, plonuj, ziemio stara!  
Bódź mi, matko, ródź!  
Oto moja pszenna miara,  
Zwróć z nasypką zwróć.

Może, ziemio moja droga,  
Dasz mi cierń i głóg...  
Jednak śmiało w Imię Boga!  
Wpuszczam w ciebie pług...

Orzę z końca aż do końca  
Mego łanu grzbiet,  
Ode wschodu — aż po słońca  
Zachód — orzę het!

Tyś mi nagródź, ziemio matko,  
Mój tak krwawy trud...  
Niech gdy ciężkie przyjdzie latko,  
Dach mój minie głód!

Plonuj, plonuj, ziemio stara!  
Ródź mi, matko, ródź!  
Oto moja pszenna miara  
Zwróć z nasypką, zwróć!

*Stefan Żeromski.*

---

## SEN W KOŁYSCE.

---

Śnić w kołysce plecionej,  
Cóż ci zrówna na świecie,  
Gdy cudnemi ramiony,  
Ukołyszysz w niej dziecię?  
Patrzcie na sen dziecińy  
Ze zmrużoną powieką,  
Na małeńkie rączyny  
Tak bieluchne jak mleko.

Ni się oczko otworzy,  
Ani rączka poruszy,  
Widać czysty duch Boży  
Jeszcze mieszka w tej duszy.

Żadne gorzkie wspomnienia,  
Zabaw, uciech rozkoszy,  
Nie rzucają nań cienia,  
Nic spoczynku nie płoszy.

Przy kołysce rodzina  
Patrzy w dziecię ciekawie,  
Rychło przyjdzie godzina,  
Co je zwróci zabawie.

Lecz cóż drobne usteczka  
Do uśmiechu wciąż składa,  
Gdy przemówi mateczka,  
Lub rodzeństwa gromada?

Lecz słuchajcie, dziecińca,  
Swem gruchaniem wesołem  
Cudny dyalog zaczyna  
Z opiekuńczym aniołem.

Ten się każe strzec winy,  
A w nagrodę walk tyła  
Przed oczyma dziecińcy  
Wrota niebios uchyla.

Dziecię słucha anioła,  
Snem ujęte głębokim,  
Ten raz uśmiech wywoła  
Rajskich uciech widokiem,

To zachmurzy mu czoło  
Smutnym życia obrazem,  
To znów spojrzy wesoło  
I rozśmieją się razem.

Znikło widmo skrzydlate,  
Dziecię wstaje, przy sobie  
Widzi mamę i tatę,  
I siostrzyczki swe obie.

Choć bawione, pieszczone,  
O śnie swoim pamięta,  
Gdzie się zjawił, w tę stronę  
Wciąż wyciąga rączęta.

I Aniołka chce tego,  
Co się zjawia i znika...  
Ale ludzie Boskiego  
Nie pojmują języka.

*Kaz. Jul. Jasiński.*

---

# Z dziejów literatury dla młodzieży

KRÓTKI ZARYS.

---

## T E R A Z.

Księgarnia... Po za lustrzanemi szybami witryn zgromadzono książki. Jest ich dużo, bardzo dużo...

Różnobarwna kaskada okładek spływa ku samemu brzegowi okna... Tu i owdzie jakaś fantastyczna winieta, tu i owdzie jakaś piękna rycina, lub jakiś zaciekawiający tytuł ciągnie oko.

Jedną witrynę zajmują wyłącznie książki przeznaczone dla młodzieży i dzieci.

Zewnętrzna strona tych książek równie jest ozdobna. Mieni się czerwień, szafir, szmaragd... złoto...

A co rycin! Kolorowe wykwitają jaskrawo z pośród książek roztwartych...

Tak jest teraz. Jakże dawniej było?

Kto ciekawy, wnet się o tem dowie.

## D A W N I E J.

Cofnijmy się myślą — o, na maleńką tylko chwilę, do czasów odległych, bardzo odległych, do czasów Grecyi i Rzymu.

Z tego odłamu historyi, którą zowią historią starożytną, wiemy, że żyło wówczas wielu mądrych i uczonych ludzi, że ci ludzie pisali mądre i uczone dzieła, ale tylko dla dorosłych.

O potrzebach umysłu młodzieży i dzieci nie myślano zgoła. Po prostu nie odczuwano tych potrzeb, nie przypuszczano nawet, że istnieją.

Więc dzieci zadawałniały się żywym słowem, pieśnią, bajką, legendą, nuconą, lub opowiadaną przy domowym ognisku,

Młodzież dojrzalsza czytała utwory przeznaczone dla starszych.

I później, w tak zwanych „wiekach średnich“ nie działo się lepiej. Wynaleziono druk, książek przybywało coraz więcej...

Dla dzieci jednak nikt nie pisał. Lub prawie jak nikt.

Zdawało się bowiem, iż nauczyciele synów królewskich lub książęcych, czyli jak zwano wówczas ochmistrze, przerabiali ku pożytkowi i rozrywce swych wychowañców dzieła dla starszych pisane, np. „Żywoty sławnych mężów“ Plutarcha, Bajki greckiego pisarza Ezopa i inne.

Ochmistrze nie mieli jednak na celu porzeb ogółu, lecz tylko swych wychowañców.

Za Ludwika XIV, króla francuskiego, biskup Fenelon (1651—1715), napisał dla rozrywki swego ucznia, syna królewskiego, utwór zatytułowany „Przygody Telemaka“.



Ponieważ to była książka dobra i jedyna oryginalna dla młodzieży w onej epoce, miała więc nadzwyczajne powodzenie, nie tylko we Francji, ale w innych krajach... Na język polski przełożono ją wierszem w 1726 r.

### PIERWSZE KSIĄŻKI ILLUSTROWANE DLA MŁODZIEŻY.

Mniej więcej w tym samym czasie, co „Przygody Telemaka“, ukazała się druga książka, którą też przyjęto z podziwem.

Tytuł jej „Orbis pictus“, co znaczy „Świat malowany“.

Książkę ową, w celu ułatwienia dzieciom nauki łaciny, napisał znakomity pedagog z XVII wieku, Czech rodem, Jan Amos Koméński.

Myślał on tak:

„Opowiadamy dzieciom o różnych rzeczach, a nie pokazujemy im tych rzeczy. To źle. Oczy pouczają nas równie jak uszy. A nawet więcej. W braku przedmiotów rzeczywistych, pokazujemy dzieciom chociaż ich wizerunki. Napiszę książkę dla dzieci, zaopatrzę ją obrazkami“.

I co postanowił, to wykonał. Napisał „Orbis pictus“.

Owa pierwsza illustrowana książka dla młodzieży daleką jest od dzisiejszych naszych wymagań. Druk, papier, obrazki... wszystko... no tru-

dno, trzeba użyć tego określenia... wszystko dość marne. Treść sucha i nie pełna.

Każda karta tej książki miała u góry jakiś obrazek, przedstawiający np. wnętrze warsztatu, zbiór jakich narzędzi i t. p., a od dołu króciutkie objaśnienia treści obrazka.

To i wszystko.

Teraz jest to mało, lecz w owe czasy było bardzo wiele.

Komeński swoim ntwarem wskazał drogę, jak należy przemawiać do umysłów dziecięcych.

„Orbis pictus“ jest prototypem wszystkich illustrowanych książek dla młodzieży.

### WIECZNIE MŁODA KSIĄZKA.

I „Orbis pictus“ i „Przygody Telemaka“ miały swoje lata powodzenia. Żyły. Przeżyły się... Dzisiaj—pierwszej—dla nauki, drugiej—dla rozrywki—nikt już nie czyta.

Przeżyły się.

Ale jednak jest pewna książka nieco późniejsza, a też mniej więcej z owej epoki, bo z początków XVIII wieku, która po dziś dzień zachowała swą młodość, która po dziś dzień żyje.

Każdy ją czytał i każdy przeczytałby chętnie raz jeszcze, jeżeli nie całą, to przynajmniej niektóre ulubione ustępy.

Książka owa napisana była dla dorosłych,

a czytali ją z równą przyjemnością ludzie dojrzały, młodzież i dzieci.

Jest to „Robinson Crusse“, nieśmiertelny utwór Daniela Defoe, wydany w Londynie w 1719 roku.

Toż to dopiero był zachwyt, gdy się owa książka ukazała. Zaczęto czytać w niej, tłómaczono na różne języki, wreszcie skrócono i przystosowano dla młodzieży.

Jeżeli kogo to zaciekawi, to mu powiem, że u nas w Polsce, tłómaczenie Robinsona Crusoe ukazało się w r. 1769.

### ŚLADAMI INNYCH.

Przykład zawsze pobudza do naśladownictwa. To wiadomo.

Wkrótce też po „Przygodach Telemaka“, po „Robinsonie Cruzoe“, poczęły się ukazywać różne dziełka przeznaczone dla młodzieży.

Ukazywały się głównie w Anglii, w Niemczech i we Francyi.

Więc Niemiec Campe (1746—1818) zastosowuje Robinsona Crusoe dla młodzieży, i układa mnóstwo książeczek pod różnemi tytułami, jak: „Książki moralne“ „Biblioteczka dla dzieci“, „Biblioteczka dla młodzieży“ i inne.

Więc we Francyi występują w tym czasie: Marya de Beaumont (1711 — 1780), której prace

objęte ogólnym tytułem: „Magazyny dla dzieci“, miały wielkie powodzenie.

Stefania de Genlis (1745 — 1830), autorka „Wieczorów zamkowych“ i „Teatru dla młodych“,

Arnold Berquin (1749 — 1791) autor kilku zbiorów powiastek i opowiadań przyrodniczych.

## U N A S.

A u nas w Polsce jakże w owe czasy szła literatura dla młodzieży?

Wcale jej jeszcze nie było.

O dzieciach pisano często — dla dzieci nic zgoła. Zagranica wyprzedziła nas całe pół wieku z górą.

A później zaczęło się od czytania książek francuskich.

Przyczyna zaś tego była prosta — ogromny w owe czasy wpływ francuszczyzny na życie naszego narodu.

Odbijał się on na wszystkim, a więc i na wychowaniu młodzieży.

Zamożniejsi rodzice sprowadzali dla swych dzieci nauczycieli i nauczycielki z Francji. „Abé“ i „Madame“ wychowali zatem polską dżiatwę.

Prawie wszystkie przełożone pensyi były również cudzeziemkami.

I jakież były następstwa tego stanu rzeczy? Smutne bardzo.

Takie, że w programie nauk język francuski zajmował pierwsze miejsce, że podręczniki do nauki były francuskie.

Nawet pacierz biedna dziatwa mówiła wówczas po francusku.

Rzecz więc prosta, że i książki do rozrywki przeznaczone, także były w tym uprzywilejowanym języku.

Z czasem dopiero zaczęto owe książki na język polski tłómaczyć.

Ukazywały się więc w przekładach to utwory Maryi de Beaumont, to Berquin'a, Campego, to Stefanii de Genlis. Tej ostatniej „Wieczory Zamkowe“, doczekały się aż czterech wydań i to w krótkim czasie.

A książek polskich dla młodzieży, oryginalnych książek polskich, jak nie było, tak nie było.

### PIERWSZE PRÓBY.

Aż i zjawily się. I to nie byle jakie. W r. 1806 Anna z Radziwiłłów Mostowska, wydaje zbiorzek powiastek dla dzieci pod tytułem „Moje rozrywki“.

Co prawda, główną zasługą tej książki stanowi to, że jest „pierwszą“ polską oryginalną książką tego rodzaju dla dzieci.

Ale niedługo, bo w roku 1819 ukazują się dwa arcydzieła „Śpiewy historyczne“ Niemcewicza

oraz „Pielgrzym z Dobromila“ księżny Czartoryskiej i odnoszą zwycięstwo bez żadnego boju, zdobywają serca i umysły młodzieży.

Kto żyw je czyta, kto żyw uczy się na pamięć...

A tymczasem pomału, nieznacznie, wpływ francuzczyzny zaczyna słabnąć... wyłom w murze przesądów już zrobiony...

I oto przez ów wyłom na pole piśmiennictwa dla młodzieży występuje kobieta, której nazwisko i prace nikomu nie jest obce, która za zadanie położyła sobie walkę z cudzoziemczyzną, rozbudzenie w młodzieży miłości do rzeczy ojczystrych... Klementyna z Tańskich Hoffmanowa.

### KLEMENTYNA HOFFMANÓWA.

Życie polityczne każdego narodu łączy się ściśle z jego życiem umysłowem, z rozwojem sztuk i literatury. Jedno oddziaływa na drugie.

Tak było i u nas.

Ze względu więc na tę łączność i zależność możnaby podzielić literaturę dla młodzieży na 3 okresy.

Okres I do roku 1830, to jest do powstania listopadowego.

Okres II do roku 1862, to jest do powstania styczniowego.

Okres III do naszych czasów.

Jasna postać Hoffmanowej wypełnia cały okres pierwszy. Ale gdy rozpoczynała swój zawód literacki, nie była jeszcze Hoffmanową, tylko młodziutką panną Tańską.

Pierwszą jej książka wychowawcza pod tytułem „Pamiętniki po dobrej matce“, wydana w r. 1819, przyjęto nadzwyczaj życzliwie.

Potem zaraz ukazały się inne książki dla rozrywki lub nauki przeznaczone.

Czyż je potrzeba wymieniać?

Któż w swych latach dziecięcych nie czytał „Wiązania Helenki“, „Powieści moralnych“, „Dругiej książeczki Helenki“. Komuż nie są znane „Listy Elżbiety Rzeczyckiej“ (1824 r.), „Dziennik Franciszki Krasińskiej“, „Jan Kochanowski w Czarnolesiu“, „Krystyna“ (1841) i inne prace tej autorki?

Na tem jeszcze nie koniec.

Klementyna Tańska zapragnęła ciągłej styczności z młodzieżą...

I oto w 1824 r. powstaje pierwsze w Polsce czasopismo dla młodzieży zatytułowane: „*Rozrywki dla młodocianego wieku*“. Pismo przeniknione nawskróś miłością wszystkiego co narodowe i swojskie.

A redagowanie go nie było sprawą łatwą, zważywszy, że wówczas nikt prawie jeszcze nie pisał dla młodzieży. Hoffmanowa często więc sama



musiała zapelniać swe pismo, jak to mówią: „od deski do deski“.

Była więc jednocześnie redaktorką i jedyną współpracowniczką Rozrywek.

Trwały one do roku 1828.

## NOWE PISMA.

W rok później ukazuje się nowe pismo. To redagowany przez J. K. Chrzanowskiego „Tygodnik dla dzieci“. Powieści w nim mało, ale są za to „Dzieje Polski“ Joachima Lelewela, są „Rozmowy ojca z synem“ Stanisława Jachowicza, ukazuje się „Słowniczek zdrowych i niezdrowych pokarmów“, opracowany ongi przez Stanisława Trembeckiego i wiele innych „nowości“.

Nadchodzi rok 1830. Młodzież na brak czasopism dla siebie uskarżać się nie może. Jest ich trzy: „Dziennik dla dzieci“ pod redakcją St. Jachowicza, ubożuchne na dwu kartkach pisemko, powstałe na gruzach „Tygodnika dla dzieci“, ale serdeczne i miłe. „Ziemomysł“, dwutygodnik Chruckiego, wzorowany na „Rozrywkach“ i...

„Skarbiec“ pismo zewnętrzną stroną i treścią różniące się od poprzednich. Wydawano go w Puławach, w tak zwanych „snopkach“, to jest zeszytach.

Przeznaczony dla młodzieży „Skarbiec“ zawierał przeważnie artykuły naukowe, popularnie opo-

wiedziane. Każdy zeszyt ozdobiony był czterema ilustracyami, związanemi z treścią.

Owe ilustracye to był nowy krok naprzód, bo poprzednio w pismach dla młodzieży dawano tylko portrety i to bardzo rzadko.

### PO BURZY.

Okres czasu między 1830—1831 r. upłynął. Naród zmożony cierpieniem milknie... Cisza.. martwota ogólna...

I dopiero tam, na obczyźnie, wśród emigracyi polskiej, w dzwon uderzono. Zbudziła się z odrętwienia literatura ogólna i odrazu żywym poczęła bić tętnem.

A literatura dla młodzieży?

Myśli o niej Klementyna Hoffmanowa i wysłała do kraju nowe pismo. Tytuł jego „Nowe rozrywki...” Niestety, z przyczyn niezależnych od redakcyi, na dwóch tylko musiano ograniczyć się tomach.

Ale dzwon zrobił swoje.

Ukazują się różne czasopisma dla młodzieży... Magazyny... Noworoczniki... Żadne jednak nie trwa długo. Ukazują się i giną.

„Motyl” Żochowskiego naprzykład, wydawało jeden kwartał za ledwie.

Zastęp piszących dla młodzieży wzmagą się. Zapewne są pomiędzy niemi i „niepowołani”, ale „powołanych” jest wielu.

Obok Jachowicza staje Teofil Nowosielski, w ślad Hoffmanowej wstępują Paulina Krakowowa i Walentyna Trojanowska, ukazuje się Ewaryst Estkowski, Seweryna z Duchińskich Pruszkowa, Józefa Śmigielska i wiele innych autorek.

### MIŁOŚNICY MŁODZIEŻY.

*Jachowicz* stwarza jakby nowy rodzaj literatury dziecięcej. Bajki, powiastki, wiersze, stwarza poezję dla małych.

Przed nim nie było jej prawie.

Opowiada więc o sierotkach w ochronie, o grzecznym i dobrym kominiarczyku, o druciarku i chłopczyku, który zdejmował czapkę, przechodząc obok żniwiarzy...

Zbliża ku sobie dzieci zamożne z dziećmi z suteryn i poddaszy. Pokazuje pierwszym rówieśników, których prawie nie znały.

*Paulina Krakowowa*, wspólnie z Walentyną Trojanowską, redagują czasopismo dla młodzieży „Zorzę” (1843—1846), piszą różne powieści i powiastki.

Krakowowa góruje jednak talentem nad swą współpracowniczką. Jej „Pamiętnik młodej sieroty” pisany na tle osobistych wrażeń, wzruszał i wzrusza jeszcze. Jej „Wspomnienia wygnanki” pierwszą oryginalną Robinsonadę po polsku, mło-

dzi czytelnicy i czytelniczki „jednym tchem“ czytają. Obiedwie książki wciąż są żywe.

O innych pisać nie będę—brak miejsca. Zapoznajcie się z niemi sami.

Czy słyszeliście co o Ewaryście Estkowskim? Zapewne nie.

A jednak usłyszeć o nim, poznać go, to obowiązek każdego Polaka.

*Ewaryst Estkowski* był dzielnym szermierzem swego narodu. Głęboki myśliciel, wszechstronnie wykształcony, doskonały pedagog. Wiedział on, że kraj jest takim — jakimi są obywatele; obywatele zaś są takimi — jakimi ich uczyniło wychowanie.

O kształceniu, rozwijaniu młodzieży myśleć przedewszystkiem należy.

I w myśl tego zaczął wydawać w Poznaniu w r. 1850 czasopismo „Szkółka dla młodzieży“. Do pomocy Estkowskiemu stanął zastęp piszących... Więc „Wiochna“ Lenartowicza śpiewa:

Już słoneczko powstało  
I przegląda się w rzece,  
Oj, na rosę, na białą,  
Polecę-ż ja, polecę!

Więc Karol Baliński, Brzozowski, drukują swe utwory, więc Roman Zmorski zapoznaje dzieci z „Baśnią o żelaznym wilku“ i t. d.

Ale jednakże mimo wielkich swych zalet, „Szkółka“ po czterech latach istnienia milknie.

W roku 1856 ukazuje się w Warszawie czasopismo w formie książkowej p. t. „Rozrywki dla młodocianego wieku“. Redaktorką jej jest *Seweryna z Duchińskich Pruszkowa*.

W piśmie tem spotykamy nazwiska Deotymy, Lenartowicza, Żmichowskiej, spotykamy prace o szerokim zakresie, jak wykład literatury polskiej, podzielony na czytania; spotykamy myśli nowe, autorkę bowiem zajmuje bardzo sprawa społecznego stanowiska kobiety.

Świeży prąd wiać zaczyna.

Odczuwa go się również w utworach dla młodzieży *Józefy ze Śmigielskich Dobieszewskiej*, która przez rok jeden 1856 — 1857 wydawała „Zabawy przyjemne i pożyteczne dla młodzieży“.

Ale nie o zabawy wcale tam chodziło, tylko o zwalczenie przesądów poniżających pracę fizyczną, o duchowe zbliżenie salonu z warsztatami.

Tak więc było u nas, tak w Poznańskim, a w Galicyi cóż się dzieje?

Dzieje się źle. Ucisk niemieczyzny druzgocę wszelkie usiłowania.

Ukazuje się w 1848 r. jedno czasopismo dla młodzieży i wkrótce milknie.

Aż oto osiedla się później we Lwowie *Walentyna Trojanowska* i już jako *Horoszkiewiczowa* zaczyna w r. 1850 wydawać pismo „Dzwonek“.

Wierna swej nazwie tętni głęboko i budzi  
myśli piękne, a krzepiące ducha.

## PRZEBOJEM.

Zbliża się rok 1861. W literaturze dla młodej  
dzieży znów pewien zastój...

A młodzież łaknie, potrzebuje pokarmu dla  
umysłu, potrzebuje kierunku, drogowskazę...

Zaspokoić jej pragnienia to obowiązek społeczny i narodowy.

Więc grono ludzi dobrej woli staje przy  
warsztacie i postanawia wydawać pismo dla młodej  
dzieży.

Jakaż nadać mu nazwę?

Czy może być lepsza, piękniejsza nad tę, jaką  
obrano?

„Przyjaciół Dzieci!”

Hasłem jego: Miłość Boga, Ojczyzny, Pracy i Wiedzy! Hasło to pociąga wszystkich ku sobie, i oto mnożą się zastępy młodzieży czytającej Przyjaciela.

Pierwszym redaktorem był Henryk Lewestam, pierwszym nakładcą Jan Minchejmer.

Wszyscy najznakomitsi pedagogowie stanęli do apelu, nie żałując pracy swej dla piśma, które pod takim hasłem walczyło...

Bo naprawdę była to walka.



Przeciwności różnej natury piętrzyły się...  
Zmogło się jedno, aż oto drugie się zjawia...

Tak było... i w części tak jest jeszcze...

Ale Przyjaciół ma w sobie źródło nie spożytej siły... swoje hasło.

Więc trwa... I trwać będzie.

### INNE PISMA DLA MŁODZIEŻY.

O tem jak rozwijał się „Przyjaciel Dzieci“ już mówione było na początku tej książki — powtarzać więc tego nie będę. Wspomnę o innym piśmie, które choć trwało krótko, lecz dobrą po sobie zostawiło pamięć.

Był to „Świat“ dwutygodnik dla młodzieży wydawany i redagowany przez Adama Wiślickiego, od 1876—1881 r.

Nieco przedtem, bo w roku 1880 przybywa jeszcze jedno czasopismo dziecięce „Wieczory Rodzinne“. Redaktorka Julia Zaleska, jest tą pionerką popularyzacji nauk przyrodniczych, której usiłowania uwieńczyło powodzenie.

Jeszcze później zjawia się wydawnictwo M. Arcta, przeznaczone dla młodych dzieci pod tytułem „Moje pisemko“. Przy piśmie tym wychodzi obecnie dodatek dla starszych, zatytułowany „Nasz Świat“.



## W GALICYI I W POZNAŃSKIEM.

Cały szereg pism dla młodzieży ukazuje się w Galicyi, począwszy od 1860 roku.

„Czytelnia dla młodzieży“, „Opiekun polskich dzieci“, „Przyjaciel Dzieci“, „Promyk“, „Towarzysz pilnych dzieci“. Wszystkie jednak, choć starannie redagowane, trwają krótko.

W 1885 roku Zofja Mrozowicka, autorka bardzo ładnych opowiadań dla dzieci, [zaczyna wydawać „Światelko“, później na „Młody wiek“ zamienione.

Prócz tego wychodzi w Galicyi pismo dla młodocianego wieku pod tytułem „Mały Świątek“, a w roku zeszłym wychodził bardzo starannie redagowany „Promyk“, przeznaczony dla starszej dziatwy. Cóż się dzieje w Poznańskim?

W Poznańskim, pod straszną presją germanizmu, życie literackie mniej wartkim, niż u nas, popłynęło nurtem.

Badacz naszej przeszłości Chociszewski, do roku 1873 roku redagował „Przyjaciela polskich dzieci“. Później pismo upadło.

„Gazeta Świąteczna“ wychodząca w Gdańsku, dodawała bezpłatnie pisemko „Anioł Stróż“, przeznaczone dla dzieci, a zasilane w części piórem autorek zakordonowych.

Oto wszystko.

## KSIĄŻKI I CHWILA BIEŻĄCA.

A książki dla młodzieży? A autorzy piszączy obecnie?

Zbyt szczupłe ramy tego artykułu nie pozwalają mi rozpisać się o przedmiocie tak bogatym.

Autorek i autorów piszących dla młodzieży jest legion cały.

Najpoważniejsze pióra nie wahają się służyć sprawie literatury dla młodzieży. Pojmują jej wielką doniosłość.

A jeżeli niektórzy nie piszą to tylko dlatego, że nie znają dostatecznie tego świata o oczach wierzących głęboko i ustach roześmianych szczerze, że nie czują się poprostu na siłach do tej pracy.

Poniżej przytaczamy list naszej wielkiej autorki Elizy Orzeszkowej, prawdę tych słów potwierdza, list pisany do mnie, gdy weszłam w skład redakcyi „Przyjaciela Dzieci“.

Szanowna Pani!

Za pamięć o mnie i miłe, piękne słowa listu ogromnie dziękuję. Służyć pismu, prowadzonemu przez panią, być pani choć trochę pomocną w pracy szlachetnej i wytrwałej, pragnę bardzo, lecz na przeszkodzie to mi stanąć może, iż do pisaniania dla dzieci i dorastającej młodzieży wprawy

i może umiejętności nie mam. Jednak, niech pani wierzyć raczy, że myśleć o tem będę i że gdy tylko nasunie mi się jaki temat odpowiedni, z pośpiechem go pochwycę i na papierze utrwale. A tymczasem proszę o przyjęcie najlepszych i najgorętszych życzeń dla rozwoju i powodzenia pod kierownictwem pani „Przyjaciela Dzieci“, z życzeniami temi łącząc równie szczere i życzliwe słowa szacunku wysokiego.

*El. Orzeszkowa.*

## CHARAKTERYSTYKA.

Streszczając ten krótki zarys rozwoju piśmiennictwa dla młodzieży, widzimy iż:

Cechą charakterystyczną pierwszego okresu jest zapoczątkowanie oryginalnych prac i nieudatne próby popularyzacji nauk przyrodniczych (Skarbiec).

W okresie drugim uderza rozszerzenie widnokręgu myśli, rozbudzenie poszanowania dla pracy fizycznej, walka z przesadami kastowemi.

Okres trzeci charakteryzuje wzrost i rozwój powieści historycznej, umiejętna popularyzacja przyrody, oraz uwzględnienie potrzeb okresu przedszkolnego.

A co dalej będzie?

Dalej — iść będziemy wciąż naprzód, wciąż  
ku ideałom Dobra i Piękna — wciąż pod tym sa-  
mym hasłem: Bóg, Ojczyzna, Praca i Wiedza:

**Jadwiga Chrzęszczewska.**

---

## ZAKOŃCZENIE.

---

Począwszy od pierwszych lat istnienia aż do chwili obecnej, w ciągu całego pół wieku, można powiedzieć, nie było pisarza, nie było wychowawcy, któryby na kartach „Przyjaciela Dzieci“ nie zapisał swego nazwiska, któryby szczerze z nim nie sympatyzował. Niejeden z rozgłosnych dziś pisarzy pierwsze utwory drukowane w ulubionym „Przyjacielu“ oglądał. A już śmiało rzecz można, że niema domu polskiego, w którymby to pismo doradcą w sprawach wychowawczych nie było, w którymby go młodzież i dziatwa z utęsknieniem co tydzień nie oczekiwała. Śmiało również rzecz można, że niema nikogo z piszących dla młodzieży i dzieci, ktoby pracami „Przyjaciela Dzieci“ nie zasilał. Oto nazwiska dziś piszących, które redakcja z wdzięcznością wymienia: B. Dyakowski, M. Heilpern, H. Buczek, K. Hoffman, K. Król, H. Bojarska, B. Kowalska, M. Synoradzki, W.

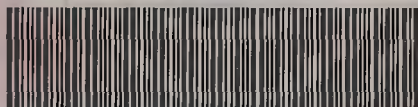
Gomulicki, Z. Morawska, M. Weryho, Wł. Umiński, B. Biernacki, M. Bogusławska, Janina Porazińska, Wanda Haberkantówna, Wacław Wolski, M. Gerson-Dąbrowska, W. Dzierżanowski, T. Kończyc, M. Kaczkowska, W. Trąmbszyński, Br. Włodkówna, Wł. M. Kozłowski, Leon Rygier, A. Lange, Z. Różycki, K. Szott, M. Gąsiorowska, Z. Zaharkiewiczówna, Z. Sokołowska, M. Dynowska, A. Miecznik, Wł. Karoli, An. Mączyński, Teresa Jadwiga, Józef Jankowski, St. Żyszkowski, Antonina Sadowska, Witold, Łaszcz, Edmund Jezierski, Stanisław Dzikowski, Wł. Nowicki, S. Wolman, Or-Ot, Wacław Gąsiorowski, Wł. Nawrocki, H. Mojkowski, H. Repielewska, E. Nowicka, Jerzy Kamiński, Hael, J. Ciembroniewicz i wielu wielu innych.

K O N I E C.



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000286635



I 429282